

Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



OPLATA .POCZTOWA RYCZAŁEM

Nr. 35-36 BIBLIOTECZKA Nr 35-36  
HISTORYCZNO - GEOGRAFICZNA

*63/5*

**WARSZAWA W OGNIU!**

12. V. — 16. V. 1926 r.



*7-1615*

CENA **60** GROSZY.



OPLATA POCZTOWA RYCZAŁTEM

Nr. 35-36 BIBLIOTECZKA Nr 35-36  
HISTORYCZNO - GEOGRAFICZNA

63/5

# WARSZAWA W OGNIU!

12. V. — 16. V. 1926 r.



CENA **60** GROSZY.

---

NOWOŚCI TOW. WYD. „RÓJ”.

JACK LONDON „BIAŁY KIEŁ”.

W dwubarwnej okładce Kamila Mackiewicza—  
2 tomy po 95 gr.

Autoryzowany przekład St. Kuszelewskiej.

Literatura nie ma podobnie wnikliwego studjum powieściowego, poświęconego duszy i obyczajowi zwierzęcia. Powieść o wilku który się przyzwaja, dała autorowi gromki rozgłos światowy, za którym idąc, dał niejako odpowiednik p. t. „Zew krwi”, w Polsce już tłumaczony.

PIERRE BENOIT „ATLANTYDA”.

W dwubarwnej okładce Kamila Mackiewicza.

Przekład autoryzowany Kazim. Bukowskiego.

2 tomy po 95 gr.

Jest to pierwszy w Polsce nieskrócony przekład słynnej powieści która obiegła świat.

Przy zamawianiu obu dzieł (4 tomy za 3 zł. 90 gr.), kosztów przesyłki nie doliczamy. (Korzystając z okazji, by przy tem zamówić: Wańkowicza „Przemy Epopei” 1 zł. 80, Wańkowicza „Szpital w Cichiniczach” 95 gr. Conrad — Kępczowski „Tajfun” 95 gr. Mayne — Reid „Djabelska Wyspa” 95 gr.).

Nr. 35-36 BILIOTECZKA Nr. 35-36  
HISTORYCZNO - GEOGRAFICZNA

STAN. STRUMPH-WOJTKIEWICZ  
WANDA MELCER RUTKOWSKA  
MARJA SZPYRKÓWNA

Z cyklu „Memento zwrotne”

# WARSZAWA W OGNIU

12. V. — 16. V. 1926 r.

*Fijałkowski*

RÓJ



~~100~~

Tow. Wyd. „Rój”, Warszawa, Kredytowa 1,  
Konto czek. P. K. O. 988<sup>o</sup>

490 45/456/12

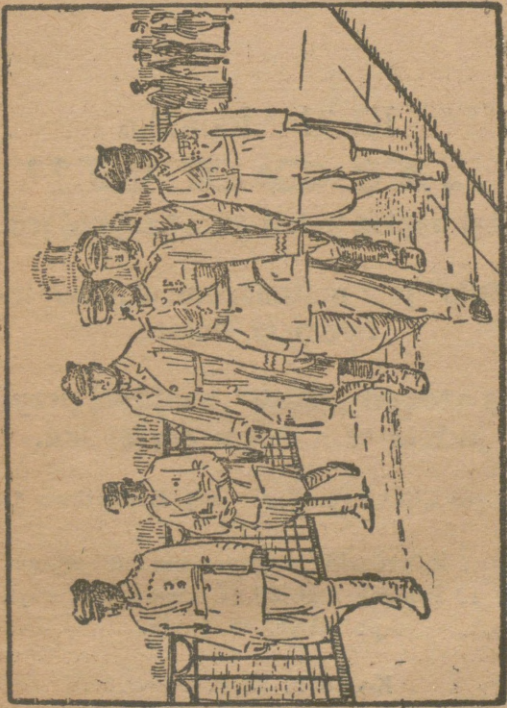


BIBLIOTEKA  
Wojak. Akad. Poln.  
13018

Biblioteka Wojak. Akad. Poln.  
26747/1  
Im. P. Dzierżyńskiego

# 77

P. S. Z.



Marszałek Piłsudski z otoczeniem na moście Poniałowskiego dnia 12 maja, około 4ej popołudniu.

Każda książka  
**„ROJU”**  
jest napisana barwnie i zajmująco.

„ROJ” jest najtańszem wydawnictwem w Polsce.

Książeczki „ROJU” znajdują przyjaciela w każdym czytelniku.

Adres „ROJU”: Warszawa, Kredytowa 1.

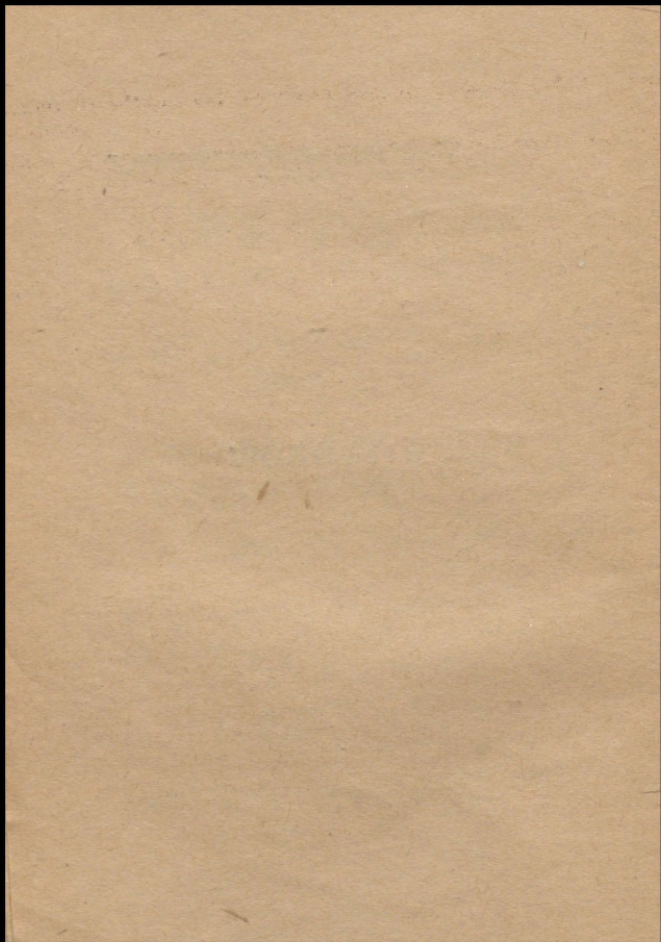
Cena książeczki w prenumeracie wynosi za 13 książek 2 zł. 60 gr. kwartalnie, czyli po 20 gr. za tomik.

Konto P. K. P.

Ilustrowany prospekt na żądanie gratis.

*ST. STRUMPH-WOJTKIEWICZ*

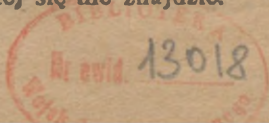
**BIEG WYPADKÓW**



## Słów kilka...

Nie o jątzerzenie świeżych ran, powstałych na organizmie państwowym Polski chodzi autorom niniejszych — pośpiesznie kreślonych — sprawozdań. Niech każdy z czytających uświadomi sobie fakt, że poszczególne oddziały Armji Polskiej dostały sprzeczne rozkazy i wybierając drogę obowiązku żołnierskiego, kierowały się w zamęcie pojęć — jedne uczuciem, inne nakazem przysięgi, jeszcze inne zaś — poszły w bratobójczy bój przez splot okoliczności fatalnych, lub z twardego musu.

Dziś, gdy serca wszystkich Polaków oblały się krwią żalu i smutku, gdy najbardziej do niedawna zacięci biją się w skruszoną pierś, gdy najbardziej zwykle pokorni tłumią pasję rozpaczy, — niech słowa poniższe, kreślone pośpiesznie, a z całą sumiennością sprawozdawcy-żołnierza — będą raczej drogowskazem dla tych tak licznych, którzyby chcieli Rzeczpospolitą rządzić, lub głos w sprawach publicznych zabierać. Nic świadomie nieprawdziwego w książeczce tej się nie znajdzie.



Prawda o dniach 12—15 maja w Warszawie, taka, jaką mógł pojąć i objąć wzrok upartego obserwatora, niech pozwoli światlejszym, a do działania lub gadania publicznego skorszym, raz na zawsze wykluczyć z ustroju państwowego wszystko to, co mogło bieg wypadków majowych w tak tragiczne skierować formy.

Być może niejeden z czytających, we własnym poczuciu dotychczas sumienny obywatel, wyrozumie, ile sam przez nieostrożne, a pośpieszne traktowanie spraw najważniejszych — zawinił, względnie zaśięził. Bo z nas wszystkich wyrosło przecie to dobro i to zło, jakimi kołysze się lan życia polskiego przy wicherze niepoahamowanych namiętności.

### Konflikt.

Polska nie przeżywała równie silnego napięcia animozji politycznych, jak w dnie, poprzedzające przewrót w Warszawie.

Właśnie „Nowy Kurjer Polski“ zamieścił wywiad z posłem Witosem, właśnie „Kurjer Poranny“ i pisma żydowskie wydrukowały wywiad z marszałkiem Piłsudskim.

Pierwszy z tych wywiadów zapowiadał niejako bieg wypadków, przewidywał w nim

bowiem pos. Witos skuteczność rządów, opartych na silnej, zbrojnej w inicjatywę władzy.

Wywiad, udzielony prasie przez marszałka Piłsudskiego, mówił bez osłonek o tem, że nowoutworzony rząd premjera Witosza spowoduje nową falę nadużyć. Numer „Kurjera Porannego“, zawierający wywiad, został skonfiskowany przez komisariat rządu na m. stoł. Warszawę. Wieczorem w kawiarniach burzliwie manifestowali strzelcy i oficerowie.

Wślad zatem „Przegląd Wieczorny“ zamieścił następującą wiadomość.

*Zagadkowe bandy ostrzeliwały w nocy willę Marszałka Piłsudskiego w Sulejówku.*

Wczoraj w godzinach popołudniowych w pobliżu willi Marszałka Piłsudskiego w Sulejówku poczęły się gromadzić w różnych miejscach grupy jakichś podejrzanych indywiduów. Ludność miejscowa, która to zauważyła, stwierdza, iż większość z nich była uzbrojona. Bandy te krążyły pod osłoną lasków, podchodząc z chwilą nastania ciemności do samej willi.

O godzinie 11 wieczorem rozpoczął się formalny atak band, najwidoczniej zorganizowany i pozostający pod wspólnem kierownictwem na willę Marszałka. Willę ostrzeliwano ogniem,

zdaje się karabinowym i rewolwerowym. Strzelanina miała charakter jakby regularnej tyraljerski i trwała przez dłuższy czas.

Na wieść o tym napadzie na willę Marszałka Piłsudskiego zjawili się pomoc z pobliskich garnizonów wojskowych, dzięki czemu napastników odparto i rozproszono. Jak można sądzić, padło ogółem kilkaset strzałów ze strony band.

„Kurjer Warszawski“, wychodzący o pół godziny później od „Przeglądu Wieczornego“, zdążył zamieścić następujące ostre zaprzeczenie:

#### *Intryga.*

Jedno z dzisiejszych pism popołudniowych podało wiadomość, jakoby nocy dzisiejszej w Sulejówku, willa marsz. Piłsudskiego była ostrzelana przez nieznaną osobników, którzy dali kilkaset strzałów; sposób zredagowania wiadomości sugeruje nieorientującemu się czytelnikowi, że usiłowano tu rzekomo dokonać zamachu na osobę marsz. Piłsudskiego.

Jest to wierutne kłamstwo, mające na celu z jednej strony usprawiedliwienie niepoczytalnych ekscesów, a z drugiej podniecanie zwolenników p. marsz. Piłsudskiego do udziału w tego rodzaju ekscesach.

Jest to zatem pospolita spekulacja polityczna. Pierwiastkowo przeprowadzone śledztwo wy-

*kazało, iż w omawianych informacjach niema ani słowa prawdy.*

Tymczasem, już przed południem tego dnia (12-ty maja, środa) stało się powszechnie wiadomem, że oddziały 22 p. piechoty, dowodzone przez pułk. Sikorskiego, stacjonowane w Siedlcach, załadowały się pomimo oporu władz kolejowych do pociągu i ruszyły w kierunku Warszawy. Następnie stwierdzono, że bataljon manewrowy w Rembertowie, 1 p. strzelców konnych z Garwolina i 7 p. ułanów, znajdują się w marszu, dokonywanym przez marszałka Piłsudskiego na Warszawę.

Około godz. 3-ej po południu rząd rozesłał do pism i ogłosił następującą odezwę:

*„Szerzona od długiego czasu przez spiskowców i burzycieli ładu i porządku zbrodnicza agitacja wśród wojska spowodowała smutne następstwa.*

*Kilka oddziałów wojskowych z niektórych powiatów, zebranych w okolicy Rembertowa, podnieconych fałszywemi pogłoskami i uwiedzionych fałszowanemi rozkazami, dało się pociągnąć do złamania dyscypliny i wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi Rzeczypospolitej.*

*Rząd Rzeczypospolitej, stojąc na straży konstytucji i utrzymania ładu i porządku, zabezpieczył stolicę przed wtargnięciem zbuntowanych*

dowódców, i obalamuconych przez nich oddziałów:

Prezydent Rzeczypospolitej, jako najwyższy zwierzchnik sił zbrojnych państwa wezwał rozkazem zbuntowanych do opamiętania się i poddania prawowitej władzy.

Rząd wzywa wszystkich obywateli do bezwzględnego spokoju i posłuchu legalnym władzom Rzeczypospolitej“.

Wypadki tego popołudnia potoczyły się z błyskawiczną szybkością.

O godz. 1 minut 30 po południu do 17-go komisariatu policyjnego, mieszczącego się w Grochowie przy ul. Grochowskiej Nr. 139, zajechał szwadron ułanów. Ponieważ drzwi były zamknięte na łańcuch i, policjanci nie chcieli otworzyć, ułani szarpnęli drzwiami i wyważyli je z zawias. Wszedłszy do komisariatu, ułani rozkazali podnieść ręce do góry i oddać broń. Jednocześnie jeden z ułanów przeciął szablą przewódnik telefoniczny. Po odebraniu broni policjantom, ułani zabronili im wychodzić z komisariatu i polecili kontynuować pracę. W niespełna pół godziny po zajęciu komisariatu, nadjechał samochodem marszałek Józef Piłsudski ze swym b. adiutantem pułk. Wieniawą-Długoszewskim.

Wkrótce po przyjeździe Wieniawy Długoszewskiego, wszystką odebraną broń zwrócono policjantom.

Koło godz. 3 po południu ułani ustąpili z komisarjatu. Marszałek Piłsudski w tym czasie nie wychodził z samochodu.

O obłożeniu komisarjatu zawiadomił komendę policji jeden z policjantów, mający służbę na ulicy. Wskutek interwencji komendanta głównego policji państwowej ułani opuścili komisarjat po upływie półtorej godziny.

Po godzinie 4-ej po poł. wraz z garnizonek rembertowskiim przybył na Pragę Marszałek Piłsudski i po odebraniu na rogu ul. Grochowskiej i Skaryszewskiej raportu od oczekującej na niego delegacji korpusu oficerskiego oddziałów warszawskich, udał się wraz z 7 pułkiem ułanów, 1-ym pułkiem strzelców konnych i oddziałami piechoty w kierunku III-go mostu, jeden pułk piechoty odmaszerował ulicą obok kościoła św. Florjana i ul. Zygmuntofską na most Kierbedzia. W chwili pojawienia się wojska, oddział policji, strzegący praskiej strony mostu, odmaszerował. Pułk piechoty przemaszerował przez most i obsadził obie strony, w czem kompanja 21 p. p. nie czyniła przeszkód.

Marszałek Piłsudski na III moście Im. Poniatowskiego zatrzymał się.

Most od strony warszawskiej obsadzony był już z rozkazu gen. Orlicz-Dreszera przez dywizjon 6-go pułku szwoleżerów pod dowództwem majora Stombeckiego.

To też kiedy o godz. 5-j Prezydent Wojciechowski w asyście oddziału szkoły podchorążych, zaopatrzonego w karabiny maszynowe, przybył, ażeby spotkać marszałka, spotkanie nastąpiło nie na moście, a na prowadzącym nań wiadukcie — tam, gdzie stała pierwsza placówka piłsudczyków.

Do tej placówki prezydent podjechał bez eskorty wojskowej, w towarzystwie dwóch adjutantów i zbliżając się, zapytał:

— Co wy tu robicie?

Oficer-komendant posterunku stanął na baczność i mówił coś niezrozumiale.

— Czy słuchacie prezydenta Rzeczypospolitej? — zapytał p. prezydent Wojciechowski.

— Tak jest, panie prezydencie — odpowiedział oficer, wydając jednocześnie ulanom polecenie, aby publiczność zbliżającą się do posterunku usunąć.

Ułani chcieli rozkaz wykonać, ale p. prezydent wydał polecenie:

— Ja tu rządę — nie potrzeba tego!

Oficer znów stanął na baczność.

Następnie p. prezydent rozkazał oficerowi, aby sprowadził dowódcę.

Za chwilę przybył podpułkownik 7 pułku ułanów, któremu p. prezydent wręczył rozkaz do poddania się prawowitej władzy i wyznaczył termin.

Podpułkownik Stamirowski wziął rozkaz i udał się do marszałka Piłsudskiego. W kilka minut później przybył sam Marszałek Piłsudski, do którego Prezydent zwrócił się z wezwaniem do posłuszeństwa wobec najwyższego zwierzchnika sił zbrojnych.

Gdy Marsz. Piłsudski chciał przedstawić swoje żądania, prezydent Rzeczypospolitej zapytał krótko: „Proszę odpowiedzieć tak, czy nie?“ Marsz. Piłsudski odrzekł, że jeszcze chce porozmawiać o tem.

Prezydent odrzekł stanowczym głosem, że nie przyjechał na rozmowy, lecz żąda poddania się legalnej władzy.

Na to Marszałek Piłsudski odrzekł, że dla niego legalna droga jest już skończoną,

Na tem skończyła się rozmowa.

Prezydent zwrócił się do stojących obok żołnierzy i podchorążych: „Podchorążowie! Poznajcie swój obowiązek!“ i wręczył im tekst swego rozkazu do żołnierzy, poczem odjechał do gmachu Prezydjum Rady Mini-

strów, aby wydać odpowiednie zlecenia rządowi.

Wówczas do szkoły podchorążych, a raczej do jednego z dowódców, majora Porwita, zwrócił się Marszałek Piłsudski, żądając powolności. Legjonista, major Porwit, odrzekł, że musi słuchać Prezydenta.

Wtedy Marszałek siadł w auto i wrócił do swych szeregów.

Pułk. Wieniawa-Długoszewski jednak pozostał chwilę, gawędząc z „przeciwnikiem“, aby tymczasem dać możność ułanom ppułk. Stamirowskiego cofnąć się z mostu, na którymby byli wystrzelani, jak kaczkę. Fortel się udał, acz nie zupełnie; ułani zyskali na czasie i cofnęli się, ale pułk. Wieniawę oficerowie „rządowi“, kończąc nagle niefrasobliwą pogawędkę, ujęli pod rękę i zaaresztowali. Odwieziony do więzienia wojskowego na Dzikiej, przesiedział w nim pięć godzin, aż do opanowania centrum miasta przez Piłsudczyków.

Tak rozpoczął się brzemienny w następstwa konflikt. Dla jednych oddziałów łatwiejszym wyjściem było posłuszeństwo dla rządu, dla innych — posłuszeństwo Marszałkowi. Nie wszystkie zaś wybrały drogę łatwiejszą. Jeśli chodzi np. o szkołę podchorążych, liczącą 700 znakomicie wyszko-



Jeneral Dreszer, dowódca sił, które zdobyły przejs-  
cie przez Wisłę.

łonego żołnierza, to wybrała ona drogę wierności dla Konstytucji i Prezydenta. Drogą tą — iście kawaleryjską, drogą krwawego obowiązku — szła odtąd przez kilka dni, bohaterstwem i nieugiętością zadziwiając przełożonych i przeciwników. Była kością obrony Belwederu.

Naród może być dumny ze swoich podchorążych, wdzięczny, że nie poniżyli chlubej tradycji Warszawskiej Podchorążówki. Po skończonych walkach wyraził się o nich Marszałek Piłsudski: „nie zawiedli mnie moi kochani chłopcy...”

#### Pierwsze starcia i pierwsze ofiary.

Okolo godziny 6-ej po poł. rozpoczyna się kompletny chaos w ruchu ulicznym, w informacjach sprzecznych prasy i urzędów, w rozgorączkowanych umysłach. Ulice zalega tłum, usiłujący przedostać się w kierunku mostów, sejmu, gmachu rady ministrów. Oddziały policyjne i wojskowe przeciągają w galopie lub pędzącymi samochodami; w górze widać obserwujące samoloty; dziesiątki dodatków nadzwyczajnych i setki półgłosek kursują wśród publiczności. Z tych i owych ulic już bucha żywiołowy okrzyk „precz z Witosem” i „niech żyje Marszałek Piłsudski”, śpiew „My,

pierwsza brygada" zagłusza wreszcie wszystko. Kordony wojska i policji z trudem utrzymują linię, gubiąc się wśród dziesiątków tysięcy ludności, manifestującej na rzecz marszałka, lub też poprosto przyglądającej się wydarzeniom.

Posel socjalistyczny Marek z towarzyszami zwraca się w tych chwilach do Prezydenta z propozycją pośredniczenia. Prezydent odmawia przyjęcia delegacji, oświadczając, że jest to sprawa Rządu. Socjaliści komunikują wówczas adjutanturze Prezydenta, że, wobec odrzucenia propozycji pośredniczenia, odpowiedzialność za dalszy bieg wypadków spadnie na Prezydenta.

Do sejmu dostać się nie można. Na placu Trzech Krzyży — wojsko i policja. Na moście Poniatowskiego, po przejściu szwoleżerów na stronę praską, pilnuje przeprawy sam minister wojny gen. Malczewski. Ma kilkudziesięciu piechurów i parę karabinów maszynowych, przyczem w końcu wycofuje się na brzeg warszawski, w ten sposób postanawiając bronić przeprawy...

W trakcie wydawanych zarządzeń padają na moście Poniatowskiego dwa strzały.

Oba brzegi milkną. Publiczność ucieka. Zaczynają gwizdać coraz gęściej kule. Ar

tylerzyści kręcą się wokoło wkopanej armaty.

Nagle — od Pelcowizny — poczyną trajkotać karabin maszynowy.

W gmachu rady ministrów obraduje Rząd. Ogłoszony zostaje stan wyjątkowy. Urzędnicy gorączkowo przebiegają po dywanach, tłumiących odgłos kroków. Policja i wojsko na dziedzińcu w postawie, gotowej do walki. Obie bramy — wjazdowa i wyjazdowa — zamknięte. Karabiny maszynowe wycelowane są w przeciwległe domy na Krakowskiem Przedmieściu. Wzbudza to w tych godzinach grozy — powszechną wesołość. Tłum warszawski zdaje sobie oddawna sprawę z wartości poczynañ wojennych. Nauczyła go wojna...

Most kolejowy strzeżony jest przez cytafelę i jej załogi.

Marszałek Piłsudski postanawia wkroczyć do stolicy przez most Kierbedzia. Nie spodziewa się żadnego oporu — jest pewien popularności swojej u wojska i wśród ludności.

Zawodzi się jednak — opór istnieje.

Tragedja kilkudniowej walki bratobójczej właściwie w tem tkwiła, że opór istniał — lecz był słaby, niedołężnie zorganizowany.

Sprawa puszczenia przez most była z gó-

ry przesądzona na niekorzyść „rządowców”. Oba przyczółki warszawskie — i przy moście Poniatowskiego i przy moście Kierbedzia były od początku w ręku gen. Dreszera. Pierwszy, jak już pisaliśmy, obsadził 1-szy pułk szwoleżerów, drugi — z rozkazu gen. Dreszera 36 p. p. pod wodzą pułkownika Kazimierza Sawickiego, oraz 21 p. piech.

To też marszałek, zdecydowawszy się na wkroczenie do Warszawy przez most Kierbedzia, nie miał wiele kłopotu; natychmiast po rozmowie na wiadukcie z Prezydentem, skierował brzegiem praskim do mostu Kierbedzia 22 p. p., bataljon manewrowy, 7 pułk ułanów i 1-szy pułk strzelców konnych, zostawiając na moście Poniatowskiego jedynie słabe przykrycie.

Oddziały 22-go pułku piechoty ruszyły z mostu w górę, Nowym Zjazdem — do placu Zamkowego. Rozrzucony w tyraljerę na ulicy pułk 36-ty, dowodzony przez pułk. Sawickiego, zmieszał się z pułkiem 22-im i ruszył na miasto. Z placu Zamkowego zahuczała kanonada armatnia: to porucznik 1-go dyw. art. konnej Szczepan Olchowicz użył z rozkazu dowództwa swego działą, ustawionego koło kolumny Zygmunta. Dwa karabiny maszynowe od wylotu Miodowej

rozpoczęły wściekły, ale krótki ogień w kierunku Nowego Zjazdu. Również od wylotu uliczek staromiejskich ruszył do ataku na nacierających piłsudczyków pułk 30-ty, dowodzony przez pułkownika Modelskiego.

Wtedy z okien niemal wszystkich domów, okalających plac Zamkowy, posypały się strzały na obrońców rządu. Batalion rembertowski opanował Zamek. Kule krzyżowały się z rozmaitych kierunków. Od Marjensztadtu oddziały wojska nacierającego poczęły dawać salwy.

W krótkim czasie obsługa działa wraz z porucznikiem Olchowiczem zupełnie wyginęła. Dwa zaprzęgi następane dywizjonu ogarnęła fala atakujących. Tłum, nie bacząc na kanonadę, jak pijany, przewalał się placem i ulicami na spotkanie wojsk marszałka. Oddziały 30-go pułku, wśród walki ze strzelcami i z oddziałami 22, 36 i 21 p. p. cofały się metodycznie ku cytadeli, sypiąc w drodze odwrotu okopy.

Fala ludzka popłynęła, zda się, rozpychając domy, w stronę Rady Ministrów i Komendy Miasta. Środkiem, prawie zduszone w ścisłości i tumulcie, znaczyły swą obecność błyskami wzniesionych bagnatów, oddziały Marszałka.

Przed gmachem Rady Ministrów, zagradzając drogę wpoprzek Krakowskiego Przedmieścia, wparł się w bruk miejski i stanął w groźnej postawie oddział szkoły Podchorążych.

Nastąpiła chwila ciszy. Na Podchorążych zaczynano przecierać. Bagnety się pochylały.

Wtedy z dziedzińca Rady Ministrów wyjechały jeden za drugim samochody rządu. Na przodzie sunęła limuzyna Prezydenta Rzeczypospolitej z flagą, trzepoczącą na przodzie. Dalej podążali ministrowie cywilni. Policja na samochodzie ciężarowym w końcu.

Ulice zatrzęsły się od krzyków — na cześć Marszałka Piłsudskiego.

Padły w pobliżu jakieś strzały.

Samochody rządowe znikły w ulicy Osolińskich, potem widać je było, jak przez plac Saski i Mazowiecką skierowały się w stronę Belwederu.

Żelaznym krokiem zdążała w tymże kierunku — jeno przez Nowy Świat — Szkoła Podchorążych.

Tłum wyl, szalał, leciał w ślady.

Przed zamkniętą na głucho gmach komendy miasta wtoczył się lud. Już mówiono, że jen. Suszyński, komendant miasta, opuścił swą siedzibę.

Jacyś cywilni — jacyś wojskowi — wielkimi krokami biegli przez ulice. Ścigał ich tłum, wydłużając się w pogoni, nie bacząc na gęsty ogień rewolwerowy.

Jakiś wysoki ksiądz — siedł od umierających na placu Zamkowym — w komży i z przyborami kościelnymi. Uragano mu w drodze, z gwizdaniem i wyciem wyrażano przy twarzy. Przeszedł pośpiesznie — świecąc w zapadającym mroku komżą, nie tyle zatrwożony o siebie, ile zawstydzony i jakby zdziwiony... Nie znał dotychczas — ulicy...

Z komendy miasta, tyłami, wymykały się postacie. Tłum gonił za nimi — one gubiły się wśród tłumu.

Przed gmachem komendy stała garstka oficerów, którzy przyszli zameldować swe służby zastępcy komendanta, pułkownikowi Ocetkiewiczowi.

Lecz do wnętrza nie puszczano nikogo.

Przed gmachem inspektoratów kawalerji i artylerji stał generał Józef Haller. Odpowiadał machinalnie na ukłony.

W huczącej ulicy nikt się jeszcze dokładnie niczego nie dowiedział. Wiadomości o zdarzeniach na placu Zamkowym, choć tak niedalekie, nie docisnęły się jeszcze przez zbitą ciżbę. Nagle zagrzemiał śpiew.

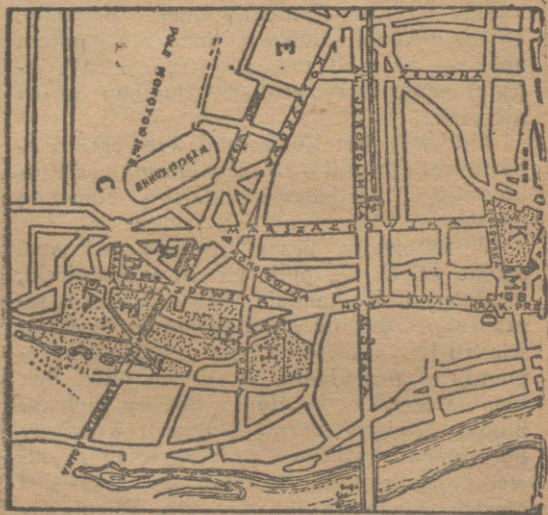
Wśród naprędece utworzonych kordonów weszły na plac Komendy miasta oddziały. Oficer z konia salutował tłumy. Dał potem znak — zatrąbił pobudkę trębacz. W za-  
ległej nagle ciszy, rozkazał tłumowi opróż-  
nić plac.

Oddziały bataljonu manewrowego rem-  
bertowskiego pod dowództwem majora Rut-  
kowskiego, kordonami oddzieliły komendę  
miasta.

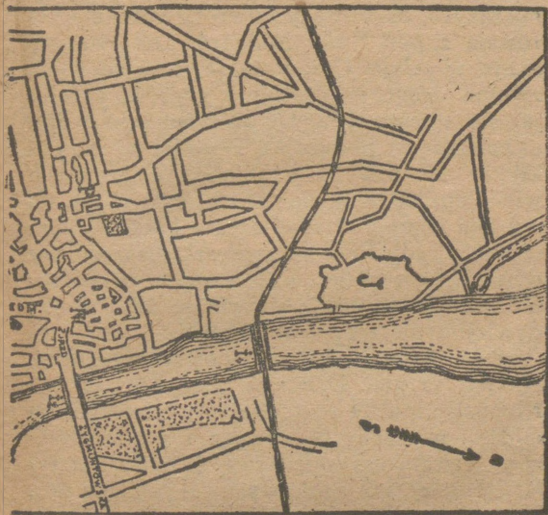
Aresztowany przez „rządowców“ szef  
sztabu D. O. K., pułk. Erwin Więckowski,  
osadzony w Komendzie Miasta, zamienia te-  
raz rolę, aresztuje groźnego pułk. Ocetkie-  
wicza i jego oficerów i obejmuje gmach Ko-  
mendy w posiadanie. Wtedy to pułk. Bek  
(nasz attache w Londynie, obecny szef ga-  
binetu Ministra Spraw Wojsk.), wpadłszy  
do Komendy miasta i przyłożywszy rewol-  
wer do czoła pułk. Ocetkiewiczowi, zażądał  
niezwłocznego uwolnienia pułk. Wieniawy  
Długoszewskiego.

Oddziały 22-go p. piechoty zajęły plac  
Saski i Sztab jeneralny. Siódmy pułk ułań-  
ski stał w pogotowiu wzdłuż ulicy Ossoliń-  
skich.

Zapadł już wieczór. Tłum rósł. Zapłonę-  
ły latarnie uliczne. Chóralne śpiewy zmie-  
szały się z trzaskiem dalekich salw.



Objaśnienia planu Warszawy: 1<sub>1</sub> — most kolejowy; 1<sub>2</sub> — most Kierbedzia; 1<sub>a</sub> — most ks. Połniewskiego; A — Belweder; B — teren przy ul. Bagatela; C — lotnisko; D — Min. Spraw wojsk.; E — filtry i Kolonja Staszycy; F — Las



zienki i ogrody; G — Dworzec Główny; H —  
Sejm; I — Cytadela; K — Ogród Saski; M — Kos  
menda Miasta; N — Zamek; O — Prezydium  
Rady Min

W tym właśnie czasie, kiedy falanga podchorążych, osłoniwszy odwrót rządu, maszerowała z pod Rady Ministrów na swe pozycje w Aleje Ujazdowskie, torując sobie zwolna drogę przez tłumy gapiów, przebiegał się spieszony 2-gi dywizjon 1-go pułku szwoleżerów, podążając z dołu, od swych koszar na ulicy Ułańskiej. Podchorążych widać uprzedzono, złamał się szyk, w mgnieniu oka stanęły w rząd cztery karabiny maszynowe; gdy tłum się rozwarł, maszerujący dywizjon ujrzał je... o 20 kroków przed sobą. Runęła salwa. Zostawiając 12 trupów, dywizjon pierzchnął w popłochu.

Pułk. Głogowski postępował ostrożnie. Na rozkaz gen. Dreszera, kiedy już gmach Komendy miasta został zajęty, prowadził on oddział mieszany, złożony z 1 p. szwoleżerów, szwadronu pionierów i baterji artylerji konnej. Na czoło wysuwał szpicę z por. Trebertem i trzema żołnierzami. Szpica, wychylając się w Aleje, natknęła się na jadałcego z oddziałem ministra wojny. Por. Trebert, nim opamiętał się, już był obezwładniony. Zdażył krzyknąć: „Chłopcy, dajcie znać pułkownikowi!“ Jego ułani zdarli konie i pomknęli wstecz. Świsnęły kule. Dwaj runęli na ziemię, ale trzeci dotarł do pułk.



Pułkownik Paszkiewicz, dowódca bohaterskiej  
Szkoły Podchorążych.

Głogowskiego, który skierował cały oddział drogami okólnymi.

W ulicę Chmielną wjechał 4-ty pułk strzelców konnych, usiłując zająć dworzec.

Szkolny don Rembertowski artylerji polowej, będący od początku akcji również po stronie marzałka Piłsudskiego, pozostał na Pradze.

Wierne rządowi 30-ty p. strzelców kasniowskich i część 21-go zamknęły się w cytadeli — z samochodami pancernymi, których dowódca, rotmistrz Szymański zginął jeden z pierwszych na placu Zamkowym; śmierć jego spowodował granat ręczny, który zamierzał rzucić, a który eksplodował mu w rękę — zbyt wcześnie.

Gmach Dowództwa Korpusu Nr. 1 opasowany został przez oficerów i strzelców pod dowództwem flegmatycznego Litwina pułkownika dr. Kollataja. W Ministerjum Spraw Wojskowych przy ul. Nowowiejskiej zatarasował się oddział oficerów legjonowych, których częściowo zastało późne urzędowanie. Wokoło wszędzie były już wojska rządowe. Dobijano się do tego olbrzymiego gmachu. Wtedy komendę objął gen. Składkowski. Obok niego, z rewolwerami w dłoni, stanęli generałowie: Górecki, Norwid-Neugebauer, pułkownicy Maleszewski

aki, Rožen — szef żandarmerji i inni oficerowie. Z biurek, z ław, na każdym załamku schodów utworzono spiętrzone barykady. Podchorążowie, młode chłopaki o rumianych policzkach, o rękach nieraz jeszcze dziecięcych, wysuwających się z przykrótkich rękawów, w brawurowym porywie wskakiwali na te barykady, prażąc ręcznymi granatami. O grozo, o wstydzcie! Miotali je w swoich generałów... Wielki Boże!... rewolwery generalicji zionęły ołowiem w piersi tej młodzieży...

Ale zostawcie ich. Nie wchodźcie między nich z próżnymi żałami i inwektywami. To żołnierze! Dzielni, uczciwi żołnierze. I ci i tamci spełniali najcięższy, najtwardszy, z obowiązków tak, jak im dyktowało ich proste i nieskomplikowane sumienie. Ci się szybko pogodzą, zrozumieją i przebaczą sobie. Nie porozumie się tylko kanalja, żerująca na polityce z obu stron, która wypełzać będzie z bezpiecznych kątów, aby w pośpiechu i w jazgocie swarów kuć kapitał polityczny na tej najczystszej krwi, wylanej tak hojnie, tak bez rachunku...

Około godz. 1 w nocy z dn. 12-go na 13-ty, maja Marszałek Piłsudski, rezydujący w Komendzie miasta, oświadczył przedstawicielom prasy, co następuje:

— Nie mogę długo mówić, jestem bardzo zmęczony zarówno fizycznie, jak moralnie, gdyż będąc przeciwnikiem gwałtu, czego doświadczyłem podczas sprawowania urzędu Naczelnika Państwa, zdobyłem się po ciężkiej walce z samym sobą na próbę siły z wszystkimi konsekwencjami.

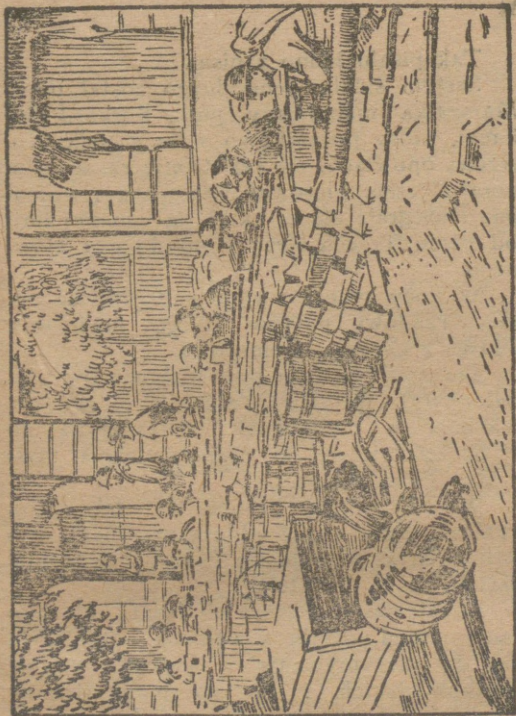
Całe życie walczyłem o znaczenie tego, co zowieć imponderabilia: jak honor, cnota, męstwo i wogóle siły wewnętrzne człowieka, a nie o korzyści własne, czy swego najbliższego otoczenia.

Nie może być w państwie za wiele niesprawiedliwości względem tych, co pracę swą dla innych dają, nie może być w państwie — gdy nie chce ono iść ku zgubie — za dużo nieprawości.

Późnym wieczorem przybył do Komendy miasta marszałek Sejmu Rataj i odbył dłuższą konferencję z Marszałkiem Piłsudskim.

Z kół bliskich do osoby Marszałka Piłsudskiego informowano, że we wszystkich pertraktacjach z rządem, Marszałek Piłsudski wysunął kategorycznie żądanie natychmiastowego ustąpienia rządu Wincentego Witosa.

„Osoba Prezydenta Rzeczypospolitej jest poza sferą pertraktacji i o przesileniu państwowem niema mowy“.



batonjon jeunego z pułków poznanskich broni  
Belwederu w okopach, przy ul. Bagatela.

Tak pisało jedno z pism.

Szefem sztabu jeneralnego został przez Marszałka mianowany pułk. Burkardt-Buskacki, który początkowo wraz z pułk. Kutrzebą opowiadał się po stronie rządu. Jenerał Dreszer kierował dalszą akcją wojenną. Rozegrała się ta akcja na łamanej linii od placu Trzech Krzyży do dworca głównego.

W nocy sygnalizowano nadejście na pomoc rządowi pułków 10-go łowickiego i 11-go z Ostrowa-Komorowa.

Transport wojska poznańskiego (oddział balonowy), mijając Warszawę — nic nie wiedział o wypadkach. Zatrzymano go w Szczęśliwicach do rozporządzenia marszałka Piłsudskiego.

Wśród wojsk, broniących Belwederu, znalazł się natomiast oddział marynarki wojennej. Straż przyboczna Prezydenta zrobiła zasieki na ul. Bagatela.

Policja po obu stronach frontu, nie biorąc zupełnie udziału w walkach, ograniczyła się do utrzymywania w korbach mętów wielkemiejskich i do spychania tłumów z miejsc, gdzie groziło życiu niebezpieczeństwo.

Dziwnie wyglądały granatowe mundury, tkwiące spokojnie na swoich posterunkach

pośród rozgorączkowanych ulic i jakby nigdy nic... regulujące ruch. Ten spokój policji i niczem nie wytrącone z równowagi pełnienie swych obowiązków, zyskały jej serce Warszawy.

Na placu Teatralnym stanęła artylerja.

Na placu Saskim, u stóp pomnika ks. Józefa Poniatowskiego spoczęły strudzone forsownymi przemarszami grupy żołnierzy i oficerów. W ogród Saski ślano patrole. Od strony Łobzowianki i ulicy Nowowiejskiej darł ciszę ostry grzechot karabinowy.

Wyżsi dowódcy wojsk Marszałka Piłsudskiego śmawiali, siedząc na stopniach, sytuację. O ile można było z urywków rozmowy wywnioskować — byli zafrasowani trybem wypadków, pełni jednakowoż zdecydowania.

Kilkanaście osób cywilnych, b. legionistów, przyszło powitać kolegów. Telefony wciąż funkcjonowały. Zajęły polowe kuchnie.

Samochodem, poprzez warty, przemknęły karabiny maszynowe policji warszawskiej, zdążające w kierunku Belwederu. Maszerująca wślad kompanja policji została zatrzymana i wzięta do utrzymywania w oddaleniu tłumów, wiwatującej nieustannie ludności.

Przyszła wiadomość o bytności marszałka Piłsudskiego w Komendzie miasta. Był to właśnie czas jego konferencji z prasą i marszałkiem Sejmu Ratajem.

Późną nocą zagrały nanowo działa. W okolicach Czerniakowa i Sielc pierwszy pułk szwoleżerów nawiązał bojowy kontakt z oddziałami rządu, okopującymi się w Łazienkach.

Umęczona, rozgorączkowana, rozentuzjzmowana — względnie zrozpaczona — Warszawa poszła spać. Tylko oddziały żołnierzy czuwały.

A pewna pani, zamieszkała w Markach, pod Warszawą, nie wiedząc o dokonanym zamachu stanu, nastawiła wypadkiem swój radjoodbiornik na falę londyńską...

„Marszałek Polski Józef Piłsudski zajął Warszawę siłą zbrojną...” przyszła oszałamiająca wiadomość.

### DZIEŃ 13-TY MAJA.

Spędzimy cały ten pogodny, a obfity w wydarzenia, dzień na ulicach miasta i w najważniejszych punktach „frontu”.

Przejdźmy najpierw przez Nowy Świat, którym pędzą auta sanitarne i zajęte przez wojskowych taksometry — do Krakowskiego Przedmieścia, zalanego tłumem,

Przed Komendą miasta wrę ruch. Zajędzają bezustannie i wyjeżdżają samochody. Maszerują oddziały strzelców i pierwsze partje cywilnych ochotników, uzupełniające siły marszałka Piłsudskiego.

Lekkie samochody pancerne wyruszają właśnie ze świeżą amunicją w kierunku ostrej strzelaniny w południowej części miasta. Już wiadomo, że pułki: 10-ty łowicki, 58 i 59 poznańskie, 3-ci lotniczy — walczą po stronie rządu.

Pułk 71-szy, który walczył około dworca Wschodniego, przedzierając się do Belwederu, oraz 55-ty poznański zostały częściowo ogarnięte przez szybko i sprężysto działające dowództwo Marszałka. Przybywa mu w sukurs szereg oddziałów, często niezmiernie zmęczonych. Z Łomży, z Kutna, z Pułtuska, z Ciechanowa, z Płocka, z Zegrza. Zapowiadany jest przyjazd generała Dąb-Biernackiego z pułkami legjonowymi z Wilna.

Jenerał Ładoś natomiast rozpoczyna z pułkami poznańskimi żmudną, wobec oporu kolejarzy, drogę z Pomorza — na pomoc rządowi.

Zebrawszy te wiadomości, dochodzimy do wniosku, że zwycięży strona lepiej przewidująca, bardziej energiczna, zmyślniejsza. Chodzi bowiem o przetrzymanie. Zamach

stanu nie powinien przeciągać się, jeśli ma mieć sukces.

Kierujemy kroki ku terenowi walk.

Po drodze dowiadujemy się różnych szczegółów.

Oto, np. strzelcy opanowali poprzedniego wieczora Polską Ajencję Telegraficzną, znajdującą się wówczas na terenie wojsk rządowych. Wobec tego — przez całą noc prowincja była tak informowana, jak tego wymagała sytuacja wojsk Marszałka. A przecież poprzedniego wieczoru minister wojny, jen. Malczewski zatrzymał na placu Trzech Krzyży dyrektora ajencji p. Góreckiego i po wydaniu mu szeregu poleceń, nie pamiętał o zabezpieczeniu Pat'a. Lepiej ocenili doniosłość opanowania tej placówki zwyczajni strzelcy — no i brat posła Niedziałkowskiego, pracownik Pata, który ich przyprowadził.

Pozatem — gmach telefonów Cedergrena zajęty został również przez strzelców, nie mówiąc o poczcie i telegrafii. Jedyne Komisarz Rządu, zatarasowawszy się w ratuszu, kieruje policją, konfiskuje pisma, działa w imieniu rządu jednym słowem. Dwa dni nieulekłe strzela papierowymi kulami zarządzeń w Piłsudczyków, aczkolwiek jest zupełnie w ich mocy.

Przed południem już mówi się o bezna-  
dziejnej sytuacji Belwederu. Chodźmy to  
sprawdzić.

Z trudem przedostajemy się przez ul.  
Sniadeckich, struchlałą w świetle kul. Sa-  
mochody pancerne od rogu tej ulicy i ul.  
Marszałkowskiej biją bez ustanku z karabi-  
nów maszynowych w stronę placu Zbawie-  
ciela i w bramę pola wyścigowego. Padają  
tu liczni ranni, ktoś z osób cywilnych, choć  
w bramie schowany — pada, zabity na  
miejscu.

U wejścia na lotnisko zatrzymuje nas  
warta, bada oficer, dowodzący tyraljerą.  
Potem przemierzamy pod eskortą żołnierza  
całą długość lotniska. Widnieje kompanja  
piechoty. Co chwila podrywają się w górę  
samoloty. Zresztą z jakichś wysokich do-  
mów wysyłane kule śpiewają tu nieustannie  
swoje śmiertelnie smutne motywy. W kilka-  
dziesiąt samolotów, rzędami ustawionych na  
lotnisku raz w raz idzie rozświetlona serja  
karabinu maszynowego. Padają i tu ranni,  
zabici.

„Wroga“ nie widać — lecz daje się on we  
znaki.

Po wyjaśnieniu charakteru sprawozdaw-  
czego — możemy przedostać się na ulicę

Puławską. Tu — istne piekło: z bruku lecą skry i ostre okruchy szarpanego zaporowym ogniem kamienia. Lecą z brzękiem szyby, kule rykoszetują na wszystkie strony, ulica pusta — jak wymiótł. Te kule muszą iść chyba od placu Zbawiciela — z tamtych aut pancernych. Chodzi widocznie o przecięcie komunikacji między Belwederem, a lotniskiem. Ktoś przebiega wreszcie ulicę do nas i pokazuje przebitą dłoń. Potem znajduje dziurę w kapeluszu i guz niewiadomego pochodzenia na czole.

Spróbujmy przecieżyć...

Jesteśmy — nareszcie — po długiej, jak wieczność, minucie pod domami strony przeciwległej. Dochodzimy przez podwórza do urwiska: widzimy tyły Belwederu, na którym powiewa sztandar Prezydenta i szosę do Wilanowa, bronioną przez świeżo usypane okopy.

Wprowadza nas przez druty i tyraljerę oficer. Na dziedzińcu legitymują.

W sieni Belwederu widzimy Prezydenta Rzeczypospolitej: wydaje właśnie zarządzenia. Jest spokojny i opanowany. Pułkownicy Anders i Kutrzeba, generałowie Suszyński, Rozwadowski i Sawicki, ministrowie, oficerów cały legjon. Twarze pogodne, za-

cięta brawura w oczach. Martwią się: niema czasu na ogolenie się, brak papierosów...

W westybiulu warta ułanów przyboczne go szwadronu. W dalszych pokojach: na prawo sztab i prezydjum rady ministrów, wprost — kasyno i bufet.

Granat wali w drzewo na podwórzu pałacowem.

— To już drugi — mówią.

Istotnie — pierwszy uderzył w mur, a odłamki sypnęły przez okno do pokoju córki Prezydenta. Znajdujemy tam te kawałki żelaza.

Z miejsca informują nas, że sytuacja jest opanowana. Właśnie trwa atak na koszarę I p. szwoleżerów. Ministerjum Spraw Wojskowych jest zdobywane pokój po pokoju. Straty szkoły Podchorążych są nieznaczne. Wszyscy nie mają dość słów uznania dla bohaterskiej postawy tych młodzieńców i dla dowódców szkoły, pułk. Paszkiewicza i majora Porwita.

Zmęczeni nadmiarem wrażeń, wychodzimy na taras Belwederu. Ale... nie ma tam mowy o spokojnym wypoczynku. Wysyłane z dalekiej zieleni Łazienek, czy też aż z nad Wisły raz wraz dochodzą kule karabinowe. Na ścianach znać ich świeże ślady.

Mówi się tu dużo o nadchodzących po

siłkach poznańskich, o trwającym właśnie ataku na centrum miasta, o niespanej nocy, o rannych i poległych, o małym zdenerwowaniu niektórych ministrów, o dobroci wody belwederskiej...

Pijemy ją kubkami z wiadra, ustawionego na pięknym stole. Czarny chleb, kiełbasa mają powodzenie. Do pustych butelek po piwie raz wraz ktoś zagląda i zawiedziony odchodzi.

W pokoju sztabowym pisane są na małych ćwiartkach papieru rozkazy, dekrety, odezwy, urzędowe listy. Prezydent przechodzi często przez ten pokój, wymieniając z poszczególnymi oficerami zdania o sytuacji. Widać, że troszczy się o wszystko i całość kształt wydarzeń obejmuje jasnym umysłem.

Zresztą są tu spokojni i przytomni wszyscy, prócz służby, nie mogącej nadażyć z wodą: przybywający od Alei Ujazdowskich i Bagateli są zmęczeni i spragnieni.

W jednym z dalszych pokojów ze zdziwieniem dostrzegamy młodych cywilnych pod strażą sympatycznego kapitana inwalidy. Są to: dziennikarz i fotograf, obaj młodzi, nieco strapieni sytuacją, przytem głodni i niewyspani. Poratujmy ich wodą, papierosami, chlebem razowym — no i na

Ńchnijmy pociechą, że nle im nle grozi. Są tu — przeciwnie — bezpieczniejsi, niż tłum, szukający wrażeń na ulicach.

Następnie dowiedzmy się, że troską rządu jest wydrukowanie odezwy Prezydenta i rozrzucenie jej po mieście. Dostajemy tekst tej odezwy do przeczytania. Brzmi ona:

*„Żołnierze Rzeczypospolitej!*

*Honor i Ojczyzna — to hasła, pod któremi pelnicie szczytną służbę pod sztandarami Białego Orła.*

*Dyscyplina i bezwzględne posłuszeństwo prawowitym władzom i dowódcom, — to najważniejszy obowiązek żołnierski, na który składa się liście przysięgę.*

*Wierność Ojczyźnie, wierność Konstytucji, wierność legalnemu Rządowi — jest warunkiem dotrzymania tej przysięgi.*

*Obowiązek ten przypominam Wam, żołnierze, jako Wasz Najwyższy Zwierzchnik i żądam bezwzględnego wytrwania w wierności żołnierskiej.*

*Tych, którzyby o obowiązku tym zapomnieli, wzywam i rozkazuję im natychmiast powrócić*

na drogę prawa i posłuszeństwa mianowanemu  
przezemnie Ministrowi Spraw Wojskowych.

Prezydent Rzeczypospolitej

(—) S. WOJCIECHOWSKI.

Prezes Rady Ministrów

(—) WINCENTY WITOS.

Minister Spraw Wojskowych

(—) J. T. MALCZEWSKI, gen. dywizji.

Zwiesiwszy głowę w zadumie nad tragedją armji polskiej wyjdźmy na ul. Bagatelę. Najspokojniej w świecie mijamy plac Unji Lubelskiej i tuż, na Polnej, spotkawszy taksoometr, każemy się zawieźć przez Lwowską i Poznańską w śródmieście. Ogarnia nas przytem zdumienie: pierwsze napotkane oddziały marszałka Piłsudskiego wycofują się biegiem z ul. Mazowieckiej, kopiają pośpiesznie okop na Królewskiej. Działa trzy świeżo naprawione tanki, jakieś wywleczone z magazynów stare auta pancerne na gwałt wyjeżdżają na plac Saski i na Nowy Świat. Tbory wycofują się pośpiesznie na Pragę, zamęt rośnie, ulice pustoszeją, kanonada się przybliża.

W galopie przelatują kanonady; co sekunda mija auto sanitarne Czerwonego Krzyża, co minuta pędzą transporty amunicji na rozpalonych samochodach ciężarowych.

Wybuchy bomb, rzucających z aeroplanów krążących wysoko mnożą się w różnych punktach miasta. Rozchodzi się pogłoska o strzelaniu z okien do wojsk. Na tem tle dochodzi do strzałów, kierowanych przez lotne oddziały strzelca w okna niezamkniętego.

Powstaje mnóstwo tragicznych pomyłek: ginie m. in. od kuli karabinowej p. Wernera, przechodząca koło zamkniętego okna w swem mieszkaniu; studentów Jużyckiego i Czaplę, niesłusznie posądzonych o strzelanie z okien tłum morduje... Wypadków lekkomyślnego oskarżenia jest coraz więcej, niektóre pisma prześcigają się w lekkomyślnem budzeniu namiętności. Za ledwie kilka wypadków strzelania z okien przez zbyt gorących zwolenników rządu lub przez świadomie prowokujących komunistów — rozdmuchano do rozmiarów nie odpowiadających rzeczywistości.

Redakcje pism: „Gazeta Warszawska“ i „Głos Codzienny“ zostały zajęte przez grupy młodych ludzi.

Rozchodzi się fałszywa wiadomość o rozstrzelaniu zaarrestowanego Adolfa Nowaczyńskiego. Wiadomo zaś napewno, że generał Sosnkowski postrzelił się w Poznaniu.



Oddziały marszałka Piłsudskiego cofają się ulicą  
Marszałkowską przed atakiem Szkoły Podchorąż-  
czych (czwartek, popołudnie).

zaś dowódca 7-go pułku legjonów, wezwanego z Lublina na odsiecz marszałkowi, pułk. Więckowski w obliczu sprzecznych rozkazów — zastrzelił się, oświadczając przed samobójstwem swoim oficerom: „Róbcie — jak chcecie...”

Walki toczą się ze zmiennem szczęściem na placu Trzech Krzyży, w alejach Jerozolimskich, na Marszałkowskiej, przed dworcem Głównym. Na kościele Zbawiciela tkwi całe popołudnie karabin maszynowy wojsk rządowych, strzelając wzdłuż ulic: Mokotowskiej i Marszałkowskiej, aż po ogród Saski. Gmach ministerjum spraw wojskowych ulega znacznym uszkodzeniom. Ginie na ul. Koszykowej pułk. Frank-Wisniewski. W poprzek ulic wyrosły barykady, okopy z kostki brukowej, śmietników, ławek, płyt chodnikowych. Działa biją na bliskie odległości, zwalczając się w pojedynku artyleryjskim. Samoloty ostrzeliwane są przez karabiny maszynowe. Czołgi ruszają Nowym Światem do kontrataku.

Wojska rządowe wzmacniają się na terenie szpitala Ujazdowskiego, co powoduje protesty i oburzenie powszechne: szpital jest pełen rannych.

Wojska marszałka Piłsudskiego natomiast są monitowane przez marszałka Rata-

ja za naruszenie neutralności terenu sejmowego.

Na teren pod Cytadelą pada niefortunnie zrzucony przez lotnika (przez co dostaje się w ręce Piłsudczyków) następujący rozkaz generała Rozwadowskiego, wydany o g. 3 min. 10 rano do pułkownika Izydora Modelskiego, dowódcy 30 p. strzelców kaniowskich i Cytadeli.

„Belweder, 13.5.1926. Godz. 3.10.

Do pana pułkownika Modelskiego, dowódcy 30 p. strzelców w Cytadeli.

10<sup>ty</sup> p. p. już przybył. Szkoła podchorążych kompletnie gotowa do akcji. Oddziały poznańskie, które mają przybyć do dnia, będą użyte razem z poprzednimi do bezwzględnego zaatakowania centrum miasta, placu Saskiego i komendy miasta.

Przedtem nastąpi zlikwidowanie 1 p. szwoleżerów w jego koszarach.

Wyzykując wczesne ranne godziny, natrzeć bezwzględnie na tyły zbuntowanych, którzy obsadzili Pałac Mostowskich i głównie komendę miasta i starać się dostać w swe ręce przywódców ruchu, nie oszczędzając ich życia.

Wykonają natarcie 71 p. p. i 30 p. p. poparte wybranymi oddziałami artylerzystów, których resztę użyć dla obsadzenia i utrzymania Cytadeli.

Choć cały szereg pewnych pułków jest

zadyrygowanych do stolicy, jednak pośpiech w akcji dlatgo konieczny, że buntownicy ściągają posiłki z Wilna, a chociaż ich będziemy w drodze opóźniali, to jednak należy zlikwidować cały incydent przed ich nadejściem.

Liczę na energję i dzielność obu pułkowników i ich oddziałów.

Pieczętka: Kierownik kancelarji wojskowej Prezydenta Rzeczypospolitej.

Podp. ROZWADOWSKI, gen."

Rozkaz ten powoduje w obozie Piłsudskiego zdwojoną czujność w kierunku Cytañeli. Zostaje też ona — w chwili największych powodzeń wojsk rządowych, wzięta — gdy zaarrestowany przez subalternów pułk. Modelski został odsunięty od dowództwa. Ponadto majorowie Radoliński i Rudnicki podzielili los dowódcy.

Z tą chwilą zapasy amunicji, nowe samochody pancerne, spora liczba szeregowych uzupełnia siły marszałka Piłsudskiego. Sytuacja jednak nie jest zbyt jasna, pomimo sukcesu ostatniego, jeśli uznano za konieczne poczynić przygotowania na dzień następny w dwu ważnych, a ryzykownych, z punktu widzenia wojskowego, wypadkach.

Mowa tu o zarządzeniu strajku jeneralnego i o uzbrojeniu kilku tysięcy ochotni-

ków cywilnych. O pierwszej z tych spraw  
nich mówią następujące odezwy:

### Polska Partja Socjalistyczna.

„Robotnicy!

Rząd reakcyjny Witosa wywołał **WOJNĘ  
DOMOWĄ**. Krew żołnierska, krew ludności cy-  
wilnej płynie na ulicach stolicy. Pan Stanisław  
Wojciechowski, Prezydent Rzeczypospolitej,  
wraz ze swemi ministrami odrzucili wszelkie pró-  
by porozumienia. Odpowiedzialność za walkę  
bratobójczą spada na sumienia tych ludzi.

Robotnicy Warszawy!

Jest jedno tylko wyjście z położenia  
**NIEZWŁOCZNA DYMISJA RZĄDU WITOSA.**  
Na szalę wypadków rzucić musicie swój czyn  
robotniczy

### STRAJK POWSZECHNY.

Strajk powszechny rozpocznie się w piątek,  
14 maja i trwać będzie aż do odwołania.

Żądamy ustąpienia Rządu Witosa!

Żądamy zaprzestania walki bratobójczej!

Precz z rządami reakcji!

Niech żyje lud pracujący!

Centr. Kom. Wyk. P. P. S.”

„Warszawski Okręgowy Komitet  
Robotniczy P. P. S.

## CHWALIE

Wezwać wszystkich robotników i pracowników w miasta Warszawy do powszechnego strajku w dniu 14 b. m. aż do odwołania. Ze strajku wyłączamy wodę, światło, chleb i szpitale.

Niech strajk ten będzie potężnym protestem przeciwko Rządowi Chjeno-Piasta i Wojciechowskiemu.

Niech strajk ten będzie potężną manifestacją na rzecz Józefa Piłsudskiego, jego bohaterkiej armji i Rządu robotniczo-włościańskiego.

Warszawski Okręgowy Komitet  
Robotniczy P. P. S.

Strajk miał mieć dwa jeneralnej doniosłości skutki: wstrzymanie ruchu kolejowego, który groził wciąganiem w wir walki wciąż nowych oddziałów rządowych; następnie wyrzucal w śródmieście dziesiątki tysięcy ludności robotniczej, usposobionej jednolicie w sensie jaknajbardziej wrogim do rządu premiera Witosy.

Ze strajku wyłączono: filtry, piekarnie, elektrownię, szpitale.

Zapadał wieczór. Uznojone walką oddziały po obu stronach upadały ze zmęczenia, ale serca zacięły się już w ślepej zawziętości. Dzień następny wróżył jeszcze bardziej obfite żniwo śmierci.

Na konferencji prasowej w Komendzie miasta wysłannikom prasy oświadczone, co następuje:

„Marszałek Piłsudski, wyruszając z Rembertowa na czele oddanych sobie oddziałów wojskowych w kierunku stolicy, miał na celu zmanifestowanie swego protestu przeciwko świeżo utworzonemu rządowi Witosza, który Marszałek Piłsudski uważa za rząd nieprawości.

Od pierwszych kroków akcji — jak podkreślono z naciskiem — Marszałek Piłsudski chciał za wszelką cenę uniknąć nie tylko rozlewu krwi, ale nawet wymiany strzałów.

Pierwsze strzały padły na rozkaz gen. Rozwadowskiego ze strony wojsk stojących przy rządzie.

Marszałek Piłsudski oczekiwał dobrowolnej kapitulacji rządu p. Witosza w środę do g. 7-ej. Skoro jednak to nie nastąpiło, natomiast wypowiedziano mu walkę — był zmuszony wkroczyć do Warszawy.

O północy z dn. 12 na 13 sytuacja na odcinku pod Belwederem była tego rodzaju, że oddziały stojące pod dowództwem Marszałka Piłsudskiego mogły opanować siedzibę p. Prezydenta Rzeczypospolitej, gdzie przebywa rząd p. Witosza.

Na wyraźny rozkaz Marszałka wojsko

nie atakowało Belwederu. Rozkaz ten tłumaczy się tem, że Marszałek Piłsudski nie chciał stworzyć nawet pozorów, iż akcja jego wymierzona jest przeciwko osobie Prezydenta Rzeczypospolitej.

Po północy wojska Marszałka Piłsudskiego — ostro zaatakowane przez oddziały stojące przy rządzie i skupiające się koło Belwederu — były zmuszone przyjąć walkę, która niestety trwa prawie bez przerwy do chwili obecnej“.

#### Piątek, 14-ty maja.

Tymczasem Warszawa poczęła się zwolna przystosowywać do warunków, narzuconych przez bieg wydarzeń. Na murach miasta pojawiła się od samego rana następująca odezwa Komisarza Rządu do ludności Warszawy.

*„Z polecenia Marszałka Józefa Piłsudskiego w dniu dzisiejszym objąłem władzę Komisarza Rządu na m. st. Warszawę.*

*Zadaniem mojem jest utrzymanie w mieście bezpieczeństwa, ładu i spokoju.*

*Wzywam wszystkich mieszkańców m. st. Warszawy do bezwzględneho posłuszeństwa wszystkim zarządzeniom organów bezpieczeństwa zarówno wojskowych jak i Policji Państwowej.*

*Zabraniam chodzenia grupami większemi po*

nad trzy osoby oraz zatrzymywania się na ulicach miasta.

Zebrania w lokalach zamkniętych winny być meldowane w Komisarjacie Rządu na m. st. Warszawę na 24 godziny przed terminem.

Sklepy winny być otwarte w godzinach przepisowych. Pobieranie cen nadmiernych bezwzględnie jest zakazane.

Okna i balkony frontowe winny być zamknięte.

Restauracje i kawiarnie winny być zamykane o godzinie 21-ej.

Winni przekroczenia powyższych rozporządzeń będą karani z całą surowością prawa.

Winni wszelkich występów z bronią w rękę przeciwko ustanowionym władzom oraz winni dokonywania rabunków i grabieży karani będą sędami doraźnymi.

Komisarz Rządu na m. st. Warszawę

SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI,  
general brygady.

Warszawa, dn. 14 maja 1926 r."

'Akcja niesienia pomocy rannym wojskowym i cywilnym trafiła na poważnie przeszkody.

Wojskowe patrole sanitarne, jakie krążyły po mieście, ze względów strategicznych nie były przepuszczane przez linię wojsk

alczących, w celu zbierania rannych i zaległych.

Zaszła konieczność zorganizowania neutralnej akcji ratowniczej.

Na wezwanie Komendy miasta zmobilizował Polski Czerwony Krzyż wszystkie będące do jego rozporządzenia ambulanse i samochody lotne i ustanowił pod flagą czerwonokrzywą dyżury i punkty opatrunkowe w 6-ciu miejscach na linii bojowej, a mianowicie przy ul. Nowowiejskiej, na pl. Trzech Krzyży, na dworcu Głównym, przy przebiegu Alei Jerozolimskiej i Nowego Świata, oraz w Poblżu Belwederu.

Ponadto oddział warsz. P. C. K. wysłał na miasto placówki piesze w składzie lekarza, feldczera i 3 sióstr miłosierdzia z noszami dla zbierania rannych i udzielania pomocy ofiarom cywilnym.

W ten sposób P. C. K. udzielił w kilkuset wypadkach pomocy na obu frontach, przewożąc rannych do szpitali wojskowych i miejskich.

Na wezwanie wydziału opieki społecznej magistratu, wydelegował P. C. K. kilkaset sióstr miłosierdzia na dyżury szpitalne, oraz zaopatrzył szpitale w środki opatrunkowe.

Wobec trudnej sytuacji, w jakiej znaleźli się mieszkańcy niektórych części Warsza-

wy, odcięci od ruchu i komunikacji wskutek walk na ulicach, powstaje Komitet Obywatelski, który nieść ma potrzebującym doraźną pomoc w naturze.

Komitet powstał z inicjatywy Towarzystwa „Rodzina Wojskowa”.

Publicysta „Expressu Porannego” znakiem uchwycił w krótkim opisie charakter ulicy warszawskiej. Píše on:

„Kto widział ulicę Warszawy w ciągu dnia wczorajszego, ten jej już chyba w życiu nie zapomni.

Chęć zobaczenia wydarzeń wojennych jest tak silna, że nic jej stłumić nie może — największe nawet niebezpieczeństwo.

Od czasu do czasu, w chwili bardziej niebezpiecznej, kiedy karabiny maszynowe zaczynają grać blisko, ulica pustoszeje, wszyscy chowają się do bramy. Wygląda to mniej więcej tak, jak schronienie się przed jakimś rzęsiстым deszczem.

Ale po chwili wszyscy wychodzą, znowu patrzą, wyglądają, rozmawiają z sobą, śmieją się, dowcipkują, dyskutują z żołnierzami, płaczą się między lawetami armat, snują się przed nastawionymi lufami karabinów maszynowych.

Kobiety nie zapomniały przytem o zalotnych mineczkach, flircie, a nawet o oglądaniu

niu wystaw sklepowych z najmodniejszymi peluszkami.

Osobny rozdział w tem nieprawdopodobnem i tragicznem widowisku stanowią gawrosze warszawscy, zawsze dowcipkujący, zamiłowani w gapiostwie nieustannem, wchłaniający z jakąś dziwną lubością loskot strzałów.

Całe zastępy publiczności pozostają z żołnierzami w najlepszej komitywie.

Widziałem np. taką scenę:

U wylotu ul. Kruczej i Alei Jerozolimskiej okopały się na skwerku pod drzewkiem trzy karabiny maszynowe. Oprócz tego leży tam kilku żołnierzy z karabinami gotowymi do strzału. Wszyscy oni są otoczeni całą gromadą przechodniów, przeważnie obojga płci.

Przystają na rogu Kruczej i widzę, że tą ulicą przemykają się nieliczni przechodnie popod ścianami domów.

Wtem rozlega się gwizd przeraźliwy kilkunastu młodzieniaszków. Jest to widać sygnał umówiony, bo przechodnie chowają się do bramy i oto karabiny zaczynają grać.

Po kilku chwilach nastaje cisza i wszyscy znowu wędrują dalej.

I tak ciągle...

Tymczasem jednak nadchodzi chwila

najwyższego napięcia dramatycznego.

Oto na ulice wylegają setki uzbrojonych robotników i formują się do ataku decydującego.

Oto wypełniać poczyna miasto ciżba ludu, świętującego dziś z powodu strajku. Ciżba ta wpiera się w dzielnice południowe miasta, jakby pchając przed sobą wojska marszałka Piłsudskiego do ataku.

Od rana broni uparcie lotniska pułkownik Borejsza; cudów waleczności dokazują spychani w Aleje Ujazdowskie podchorążowie; pulki poznańskie ratują zagrożoną sytuację w Łazienkach, 10-ty łowicki trzyma się ostatkami sił.

Pierwszy pułk artylerji przeciwlotniczej i stu kilkudziesięciu ochotników, przeważnie z pośród młodzieży akademickiej, broni lotniska od strony placu wyścigowego i filarów przed zaciekłymi atakami spiesznej kawalerji i strzelców.

Już około godz. 11-ej ani jeden samolot nie startuje: teren lotniska jest ostrzeliwany strasznym krzyżowym ogniem karabinów maszynowych.

Zapowiadane, oczekiwane oddziały poznańskie nie przybywają. W Skierniewicach zatrzymane, forsują drogę pono siłą.

W południe marszałek Piłsudski wyjeżdża

dza na poszczególne odcinki bojowe pod Belwederem.

W tym czasie prezydent Wojciechowski osobiście obchodzi linje wiernych mu oddziałów.

O godz. 11 m. 30, po krwawej walce oddziały marszałka Piłsudskiego zdobyły na poznańczykach teren szpitala Ujazdowskiego. Rozlega się w tym czasie gwałtowna kaganada na Kruczej: to oddziały rządowe po raz ostatni usiłują wyjść przebojem do centrum miasta.

Na lotnisko zwala się tymczasem największy wysiłek nacierających. Oddział kilkudziesięciu ochotników cywilnych zostaje wreszcie w okolicach stacji filtrów otoczony, wybity, częściowo wzięty w niewolę. Jeńców tych prowadziła do komendy miasta grupa innych uzbrojonych cywilnych i — należy to zaznaczyć — prowadzonych przez ulice szarpano i bito. Pokrwawionych i sporniewieranych znieważali następnie w Komendzie miasta wojskowi. Fakt ten winien być przez dowództwo wojsk marszałka zużyty w sensie szczegółowego zbadania dokładnego jeńców, obecnie już będących na wolności, celem ukarania tych, którzy splamili się nieludzkością. Jeńców rannych nie opatrywano w ciągu całych 12 godzin.

Chłopakowi, zatrzymanemu na lotnisku z bronią w rękę, wsadzono w drodze do Komendy miasta nóż — w brzuch. Do celi jeńców, zagłądano z szyderstwami, oświadczając im, że słupki już się szykują. Jedzenie dano cuchnące wydzielinami.

Student Levitoux był zastrzelony z odległości 2 kroków — przez strzelca.

Ciężko ranny Szawernowski otrzymał, leżąc na polu bitwy kilka godzin, cios kolbą.

Zwykły atrybut każdej wojny domowej — okrucieństwo, zaczął przejawiać się w tym 3-cim, na szczęście ostatnim, dniu bojów. Cytowaliśmy okrucieństwa obozu „antyrządowego“; zdarzały się także wypadki rozbestwienia i po stronie rządowej.

Nie wyliczamy dalej; nie chodzi nam bowiem o wnoszenie nowych goryczy. Ale wszystkie wypadki samowoli, gwałtów, znęcania się, nieludzkości — winny być rozważone szczegółowo, a winowajcy, w imię etyki żołnierskiej, ukarani. Ta wojna była przecież wojną szczególną; z jej zakończeniem następuje powszechna pacyfikacja, która jednakowoż nie powinna oszczędzać — zbrodniarzy i sadystów.

Idąc dalej śladem namiętności pełnych działań wojennych, widzimy nieco popołudniu lotnisko zajęte; 3-ci pułk lotniczy w nie-

woli; resztki obrońców wyparte na ulicę Pulawską. Od Wierzbna, od Polnej, od placu Zbawiciela, od Pięknej i Czerniakowa — napierają coraz silniej oddziały marszałka Piłsudskiego, zaciskając wciąż mocniej pierścienie oblężenia.

O godz. 4-tej z minutami odebrano Ministerjum Spraw Wojskowych, poczem rozszalałe, skotłowane, jak rzeka tłumy uzbrojonych robotników wdarły się w Aleje Szucho i do gmachu Szkoły Podchorążych.

Zdobyta tam broń została rozchwyтана momentalnie przez nowe fale. Oddział regularny por. Rózańskiego szedł na czele tłumy.

Nie zatrzymując się przy opanowaniu szkoły dłużej po nad konieczność wypuszczenia więzionych tam oficerów i szeregowców, wziętych przez wojska Witosy, jako jeńców w poprzednich walkach, oddział Rózańskiego ruszył na Belweder, do którego dostęp przez odwrót załogi Szkoły na Łazienki, był już do pewnego stopnia otwarty.

Belweder osłaniał oddział przyboczny Prezydenta, jednak już bez komenderującego oficera. Oddział Rózańskiego rozbroił szeregowców oddziału przybocznego, a w kilka minut po piątej porucznik Rózański wkroczył do Belwederu. Resztki 10-ego p. piechoty poddały się.

Belweder był pusty. W westybiulu była tylko służba, która oświadczyła, że Prezydent, członkowie gabinetu Witosa i generałowie zerwali się od obiadu na wiadomość o złym obrocie rzeczy na froncie walk i nie skończywszy jedzenia opuścili Belweder.

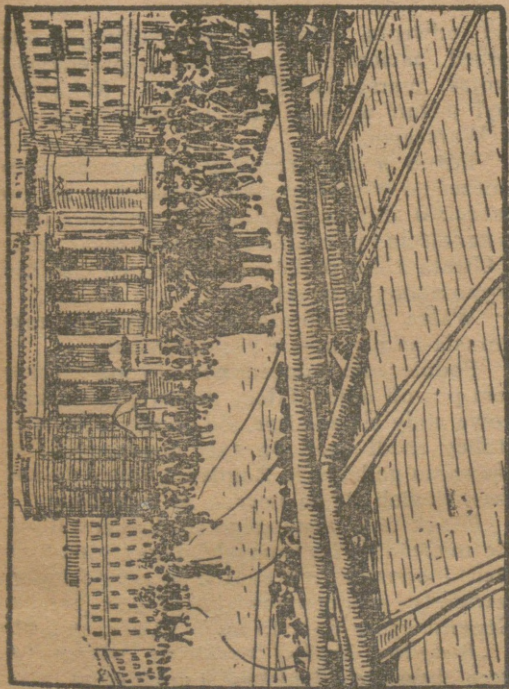
Ku zdobycemu Belwederowi runęła teraz lawina ludzka. Środkiem, jezdnią, wśród nie milknących okrzyków, przemknął w samochodzie oficer ze sztandarem Prezydenta. Rozpoczął się pochód jeńców, potem wracały zwyciężkie oddziały.

Każdy niemal żołnierz miał kiść bzu w lufie karabinowej.

### Ostatnie chwile rządu.

Opuściwszy Belweder na przeszło godzinę przed jego wzięciem, Prezydent przeszedł wraz z członkami rządu i wyższymi oficerami przez część parku Łazienkowskiego, poczem ulicami: Podchorążych, Sielecką, Chełmską i Siekierkami skierował się w powozie do Wilanowa. Grupę eskortowało kilkunastu żołnierzy, policja. Odwrót przykryty był przez szkołę Podchorążych, walczącą jeszcze w Łazienkach i przez Fort Dąbrowskiego, w którym obwarowały się oddziały poznańskie (Jen. Kędziorski).

Po wzięciu Belwederu tą drogą ruszyły,



Złota przed samochodami pancernymi na placu  
Trzech Krzyży, bezpośrednio po zajęciu placu  
przez wojska marszałka.

do odwrotu oddziały odstrzeliwując się przed nacierającymi strażami przednimi wojsk marszałka Piłsudskiego. Rakowiec był późno w nocy jeszcze bombardowany z Warszawy.

Późno w nocy rozeszły się pozatem jednocześnie w stolicy dwie sensacyjne wiadomości: o abdykacji rządu i Prezydenta oraz o nadejściu i okopaniu się między Ożarowem i Utratą kilku pułków poznańskich, sownie wyposażonych w artylerję.

Walka bratobójcza zatem omal nie rozgorzała na nowo — z siłą zdwojoną.

Podniecenie ludności poczęło już wieczorem powoli mijać. Głosy mściwe, słowa kainowe stały się rzadsze. Zmęczony obywatel stolicy szedł spać po tylu spędzonych na czuwaniu godzinach. Żołnierze, idący do koszar, chwilieli się na nogach ze zmęczenia.

Ranek dnia następnego zelektryzował już nie mięśnie — lecz umysły. Plakaty na murach i odezwy rozrzucone z samochodów zawierały następujący komunikat Sztabu Generalnego z dnia 15 maja 1926 r., g. 5.40.

*„Prezydent Rzplitej rzekł się władzy na rzecz Marszałka Piłsudskiego i uznał go za jedynie godnego i powołanego do rządzenia Polską. Rząd Witosza został rozwiązany. Marszałek Piłsudski wraz z Marszałkiem Ratajem pracuje nad*

utworzeniem nowego Rządu, złożonego z ludzi uczciwych i godnych władzy.

Oddziały zaprzestaną walki i po uporządkowaniu zostaną odesłane transportami do swych garnizonów. Marszałek Piłsudski nakazuje zachować spokój i godność wzajemną wojska.

Szef Sztabu Gen.  
BURCHARDT-BUKACKI,  
gen. brygady.

O godz. 6 rano marszałek Rataj oznajmił przedstawicielom prasy:

W piątek 14 maja 1926 r. o g. 10 wieczorem zgłosili się do mnie ks. prałat Tokarzewski i mjr. Mazanek, którzy wręczyli mi pismo p. Prezydenta Wojciechowskiego, brzmiące w sposób następujący:

Do  
Pana Marszałka Sejmu

Macieja Rataja.

Proszę Pana Marszałka o przybycie niezwłocznie do miejsca mego pobytu w Wilanowie dla przyjęcia mego oświadczenia, które pragnę złożyć w obecności rządu dla zaprzestania dalszego przelewu krwi. Proszę spowodować natychmiastowo zawieszenie broni.

(—) S. WOJCIECHOWSKI.

Wilanów, 14.V. 26 r.

(—) WINCENTY WITOS.

Godz. 15.15.

Ze względu na ostatnie zdanie tego pisma, pronujące zawieszenie broni, zwróciłem się do p. Marszałka Piłsudskiego.

Marszałek Piłsudski przyrzekł wydać ze swej strony natychmiast potrzebne zarządzenia, — zmierzające do wstrzymania akcji bojowej.

Zgodnie z życzeniem p. Prezydenta Wojciechowskiego, udałem się o g. 12-ej w nocy do Wilanowa, miejsca pobytu Prezydenta Rzeczypospolitej i rządu. Tam otrzymałem następujące pisma:

1)

Do

Pana Marszałka Sejmu

Macieja Rataja.

Wobec wytworzonej sytuacji, uniemożliwiającej mi sprawowanie urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej w zgodzie ze złożoną przeze mnie przysięgą, zrzekam się tego urzędu i zgodnie z art. 4 Konstytucji przekazuję Panu Marszałkowi Sejmu uprawnienia Prezydenta Rzeczypospolitej.

Jednocześnie załączam prośbę o dymisję do tymczasowego rządu.

Wilanów, 14 maja 192 r.

(—)S. WOJCIECHOWSKI.

2)

Do Pana

Prezydenta Rzeczypospolitej.

Niniejszem zgłaszam dymisję całego rządu.

(—) WINCENTY WITOS.

Wilanów, 14.V. 1926 r.

3)

Protokół z posiedzenia Rady Ministrów, odbytego  
w Wilanowie dnia 14 maja 1926 r. w obecności

p. Prezydenta Rzplitej.

Początek o godz. 5 m. 30 pp.

Pan Prezydent Rzplitej zażądał od Rady Ministrów odpowiedzi na pytanie, czy w związku z obecną sytuacją, wytworzoną zajęciem stolicy przez wojska Piłsudskiego i grożącą w dalszym ciągu przewleklą wojną domową, należy prowadzić dalszą walkę, czy jej zaniechać.

Rada ministrów, jednomyślnie uznając, że przedłużanie walki w tych warunkach doprowadzi do wojny między poszczególnymi dzielnicami Rzeczypospolitej, że koniecznym jest użycie siły wojska dla obrony granic państwa wojną z zagrożeń, że wreszcie niezbędnym jest w interesie państwa usunięcie rozdziału, dzielącego naród oraz wojska na dwa wrogie obozy, postanowiła, że wobec tego przerwanie dalszej walki jest nakazem chwili.

W przekonaniu, że nowemu Rządowi łatwiej uda się przeprowadzić to zadanie, Rada Ministrów uchwaliła zgłosić swą dymisję.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej jednocześnie zakomunikował swą decyzję złożenia urzędu Prezydenta.

Następują podpisy ministrów:

Za zgodność

(—) WINCENTY WITOS

W końcu p. Marszałek oświadcza:

Zdecydowałem się dymisję Rządu przyjąć. W najbliższych godzinach zostanie mianowany nowy Rząd.

Teraz czekam na przybycie Marszałka Piłsudskiego.

Zaraz potem rozlepiono na murach pałacu sta komunikat następujący:

„Wobec zrzeczenia się przez Stanisława Wacławskiego stanowiska prezydenta Rzeczypospolitej, obejmuję na zasadzie art. 40 Konstytucji zastępczo funkcje prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Warszawa, d. 15-ego maja 1926.

Marszałek Sejm

(—) MACIEJ RATAJCZYK

Zasię stołeczne pisma podały ostateczny krótki rozkaz b. prezydenta Rzeczypospolitej, wystosowany do wojska:

„Skladając urząd Prezydenta Rzeczypospolitej, jednocześnie serdecznie dziękuję wszystkim dowódcom i żołnierzom, którzy do ostatniej chwili stali przy sztandarze Rzeczypospolitej.

(—) S. WOJCIECHOWSKI.

Wilanów, 14 maja 1926 r.

Prezes Rady Ministrów

(—) WINCENTY WITOS.

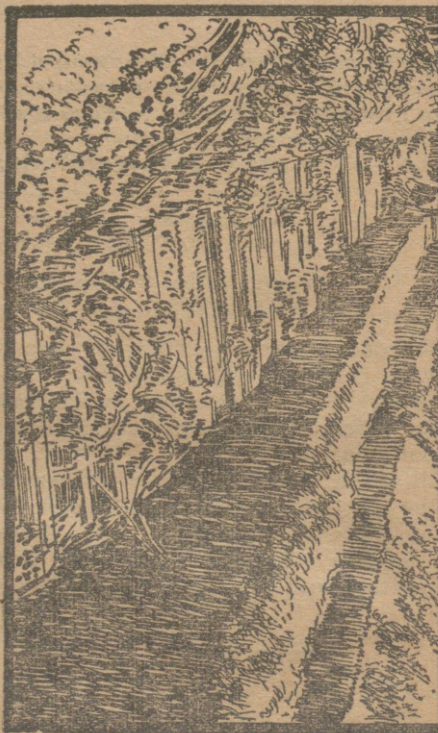
Minister Spraw Wojskowych

(—) MALCZEWSKI, jen. dyw.

Przewrót był dokonany. Posypały się odezwę i zarządzenia nowych władz. Z krańców Rzeczypospolitej i z prowincji zachodnich przyszły wreszcie nowiny: echa, dalekie echa zamachu.

Tymczasem stolica zajęła się grzebaniem 400 zabitych i zmarłych z ran... oddała się rozpamiętywaniu strasznych dni majowych... zaczęła więc wieńce żałobne z bzu, który właśnie suto zakwitł w ogrodach.

---



Pogrzeb wspólny 200 ofiar walk ulicznych  
cmentarzu wojskowych,

## Straty.

Prócz tych 400-tu zabitych i zmarłych z ran, około 1000 osób wojskowych i cywilnych jęczy w szpitalach warszawskich. Jest w tem sporo młodzieży, są też dzieci kilkotygodniowe, z którymi ciekawe wydarzenia matki wybrały się na miasto.

Kilkadziesiąt samolotów zostało podczas ostrzeliwania lotniska i podczas „bombardowania ulic“, co nawiasem mówiąc ograniczyło się do kilku rzuconych niezbyt celnie bomb, bądź zupełnie zniszczonych bądź uszkodzonych. Spłonął hangar. Zginęło bez śladu parę tysięcy karabinów, rozdanych cywilnej ludności, lub porzuconych na polu walki. Z oddaniem tej broni i amunicji ludność niebardzo się kwapi.

Zużycie w materiale amunicyjnym, ekwipunkowym, końskim, taborowym dość znaczne. Jest to zrozumiałe, jeśli się uwzględni dni torsowność marszów szeregu jednostek bojowych, no i rzadko spotykaną zaciekłość walki.

Gdy podczas rewolucji bolszewickiej w Moskwie było w ciągu 9 dni około 300 rannych i zabitych, tu—w polskiej bitwie bratobójczej, liczby te należałoby pomnożyć przez pięć. Trzeba podkreślić jednak, że

kilku oficerów walczących po stronie Marszałka, świadomie osłabiało skuteczność ognia powierzonych sobie oddziałów, przez odpowiednio zmylone nastawienie celowników. Niechże nikt tego nie pojmie jako obrazy: oficerowie ci godni są istotnie najwyższego uznania i współczucia, do ostatka bowiem oszczędzali krew i życie braci własnych—nieraz braci dosłownie... A tych nadarmo wyrzuconych pocisków nikt im nie policzy za stratę.

Mówiąc dalej jedynie o stratach materialnych, wyliczyłyby należało tysiące szyb rozbitych, setki murów pokaleczonych, dziesiątki zdezelowanych biur rządowych, kilka domów zbombardowanych.

Linje tramwajowe, drzewa w parkach, rozkopane chodniki i jezdnie—to wszystko wymaga obecnie pieczy, naprawy, restauracji.

Komisja likwidacyjna, kierowana przez gen. Żeligowskiego już zasiada. Ma ona do końca uporządkowania oddziałów ściągniętych do stolicy i pod Warszawę, zaspokoić roszczenia właścicieli mieszkań i domów zniszczonych (ucierpiały szczególnie: poselstwo angielskie i ambasada francuska) zabezpieczyć byt inwalidom, rannym, rodzinom po poległych. Ma dokonać całego ra-

chunku strat i pretensji i pomoc Armji Polskiej w powróceniu śpiesznem do normalnych warunków organizacyjnych.

Co do rachunku sumienia — to zajmują się tym zapewne wybitniejsi, a odpowiedzialni za układ stosunków — przywódcy i działacze. Niech ich sędzi potomność.

### Po zamachu stanu.

Marszałek Piłsudski nie objął zatem dyktatury, wbrew ogólnym przewidywaniom. Utworzony został rząd tymczasowy, złożony z b. urzędników i wice-ministrów. Po pierwszym swem posiedzeniu pod przewodnictwem prezesa rady ministrów, dr. Bartla, wydał on następującą, podpisaną przez wszystkich ministrów odezwę do obywateli Rzeczypospolitej:

*„Powołany przez marszałka sejmu, działającego w myśl art. 40 Konstytucji, rząd złoży swą władzę w ręce prezydenta Rzeczypospolitej, obranego przez Zgromadzenie Narodowe.*

*Tragiczne wydarzenia ostatnich dni, głęboko wstrząsające sumieniem wszystkich obywateli Rzeczypospolitej, domagają się zbiorowego wysiłku, aby raz nazawsze usunąć możliwość ich powtórzenia.*

*Przyczyny tych wydarzeń leżą w rozkładzie moralnym, jaki toczył z początku życie publiczne*

w Polsce; przeciw temu rozkładowi musi się zwrócić zdrowe poczucie obywatelskie.

Rząd rozumie, że dziś nie dość jest utrzymać tymczasowo ład i spokój, że ponad to musi być osiągnięty taki poziom moralności życia publicznego, któryby dawał pewność wewnętrznego odrodzenia i wywyższenia Rzeczypospolitej.

To odrodzenie moralne, oparcie rozwoju Rzeczypospolitej na poszanowaniu prawa i słuszności społecznej, wykorzenieniu wszelkiego sobkowstwa partyjnego czy jednostkowego, uważa rząd nie tylko za hasło na przyszłość, ale za bezpośrednie zadanie swojej pracy na dziś.

Odpowiednie zarządzenia, zmierzające do usunięcia zła, jakie się wkrađło do życia państwowego, zostaną podjęte w zakresie działania rządu niezwłocznie, zarazem rząd wystąpi z planem niezbędnej naprawy organizacji życia państwowego i usunięcia jej dotychczasowych niedomagań.

Niezłomnie wierząc w żywe wartości moralne i obywatelskie narodu, rząd wymaga stanowczo od wszystkich obywateli bezwzględного posłuchu i lojalnego współdziałania oraz nieprzeszkadzania rządowi przez jakiegokolwiek nieuprawnione samodzielne wystąpienia“.

B. prezydent Rzeczypospolitej, po abdykacji, udał się samochodem do Spawy na krótki pobyt. Ścięły go natrętne nagabywania reporterów. W drodze musiał samo

wschód b. prezydenta kilka godzin przestać wskutek pęknięcia opony.

Scena żegnania się p. prezydenta z wyższymi wojskowymi, internowanymi w Wilanowie miała przebieg wzruszający.

Szkoła podchorążych przez długie godziny jeszcze trwała w pozycji obronnej, nie zgadzając się na powrót do stolicy bez broń i bez honorów wojskowych. Wreszcie skierowano ją na dalsze, przerwane przez wypadki, ćwiczenia wojenne do Rembertowa.

Pułki, przybyłe z Poznania, metodycznie opuszczały okolice Wilanowa i zajęta linję na wschód od Ożarowa, powracając, w myśl rozkazów nowego ministra wojny, marszałka Piłsudskiego, do swoich garnizonów. Równocześnie opuszczać poczęły Warszawę oddziały, przybyłe na pomoc marszałkowi Piłsudskiemu.

Komunikacja kolejowa, przez kilka dni wysoce utrudniona na odcinkach zachodnich między b. Kongresówką a b. zaborem pruskim, zastała wznowiona. Ochotnicze drużyny przybyłe z Poznania do Kutna i Włocławka, wyjechały z powrotem.

Bohater walk, pułkownik Paszkiewicz, dowódca szkoły podchorążych, ministrowie rządu, szereg generałów i oficerów interno-

wanych w Wilanowie, lub więzionych w Cytadeli zostało zwolnionych.

W Wilanowie pozostali pod strażą generałowie Malczewski i Zagórski, oraz świetny dowódca kawalerji, pułkownik Anders. Fałma głosiła o zamiarze oddania ich pod sąd... Wreszcie pułk. Anders odzyskał wolność.

Jako echa zamachu zaczęły napływać od szeregu stowarzyszeń i organizacji, od dowództw poszczególnych a głównie z łona ugrupowań politycznych liczne odezwy, deklaracje, oświadczenia, decyzje, uchwały.

Wszystko śpieszyć się poczęło naraz z zajęciem stanowiska wobec nowego układu warunków.

Wśród sprzecznych poglądów zarysowały się dwa przeciwne sobie punkty widzenia. Stronnictwa umiarkowane skupiły się pod hasłem praworządności, a więc wyborów przez Zgromadzenie Narodowe Prezydenta; ugrupowania lewicowe, w nieuzgodnionych jeszcze licznych oświadczeniach, zażądały dyktatury marszałka Piłsudskiego, bądź dyktatury proletariatu, bądź rządu robotniczo-właścicielskiego z ogólną socjalizacją ustroju Rzeczypospolitej.

Jest to sprawa bieżącej polityki państwowej. Lud warszawski, mniej interesując

się stroną wewnętrzną zagadnień, odczuł natomiast głęboko dni pozamachowe, dni nieustannie krążących pogrzebów.

Niektóre z tych żalonych pochówków stały się istnemi manifestacjami ludności.

W przepelnionych kościołach, na nabożeństwach żałobnych i nieżałobnych dawno już nie buchał tak rozpaczny szloch zgromadzonych, a pieśni drgały bólem wszystkich matek polskich i osieroconych rodzin.

Podczas nabożeństwa żałobnego za poległych w kościele garnizonowym przy ul. Długiej zaszedł niezwykle fakt, który wywołał liczne komentarze.

W kościele obecny był cały szereg jenerałów i innych wyższych wojskowych, a wśród nich także szef duszpasterstwa katolickiego przy D. O. K. Przemyśl, ks. Józef Panaś, b. kapelan drugiej brygady legjonowej i więzień stanu w słynnym procesie w Marmarosz-Sziget.

Po mszy św. ks. Panaś zbliżył się do siedzącego w prezbiterjum jen. Dreszera i trzymając w ręku zdjęte z piersi ordery, rzekł:

— Zrzucam je, bo pała mi piersi.

Przy tych słowach ks. Panaś rzucił istotnie ordery z brząkiem na posadzkę kamienną kościoła.

Odwrotnie zaś, szereg przeciwników.

marszałka Piłsudskiego, po minięciu gorączki pierwszych chwil, ustosunkował się wobec nowej sytuacji z neutralnem, a czasem i przychylnem wyczekiwaniem. Powszechna jest niechęć do przypuszczenia, że tak olbrzymi w swej dramatyczności ewenement mógłby się na nic więcej, jak moral — Ojczyźnie nie przydać.

Nim te słowa dojdą rąk czytelnika, już niejedno zapewne się wytłomaczy. I jaki bądź wypadnie sąd społeczeństwa o celowości zamachu stanu, takie czy inne fakty wyjaśnią nam logikę wypadków, stwierdzić pośpieszmy, że dążności do złagodzenia antagonizmów, do wykluczenia odwetowych lub też innych krańcowych rozwiązań — są najbardziej z punktu widzenia dobra Rzeczypospolitej wskazane.

Jeszcze kilka dni walki domowej, a groźba interwencji obcej zawisłaby nad nami, sprowadzając tysiączne, fatalne dla istnienia narodowego konsekwencje.

Był namiętny patrijota, których w ostatnich latach naszej półtorawiecznej niewoli wyraził się lekkomyślnie, że gotówby z samym djabelem się sprzymierzyć, gdyby to miało dać Ojczyźnie niepodległość. W złą czy dobrą to powiedział godzinę.. Duch niena-

wiści rozpanoszył się wśród nas już w 8-ym roku Niezależności.

Liczne żalose dygresje niech wytłomaczy sobie czytelnik niemożliwością stwierdzenia obiektywnego i spokojnego tak świeżych, tak strasznych, na oczy oglądanych zdarzeń.

---

## RUN NA POBOJOWISKU.



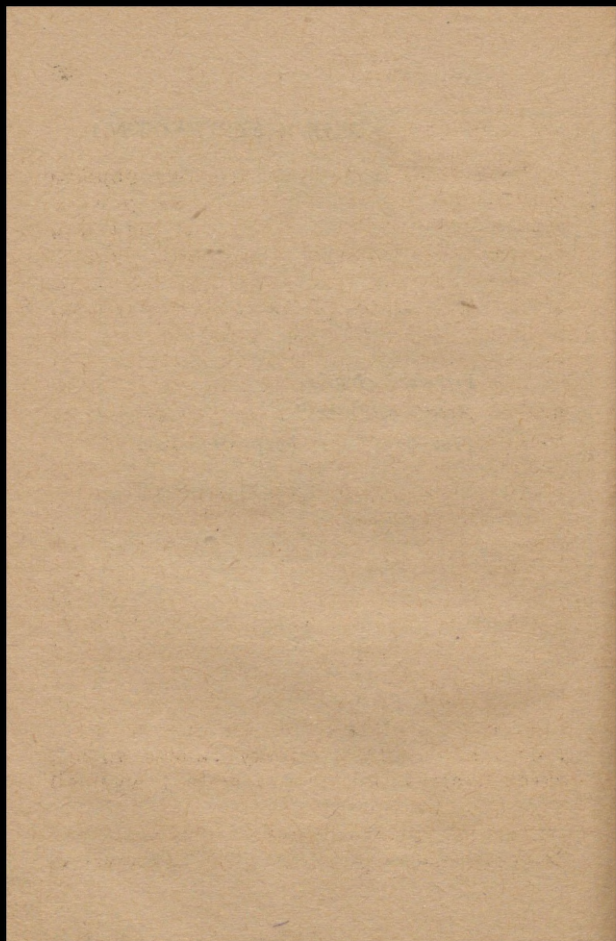
Karac uszczelnia kule na wylot przszyty żelazne ściany  
słupów od wielkich lamp łukowych.

MARJA SZPYRKÓWNA

*Pierwsze chwile*

*Ach, wy, Polacy!...*

*Prezydent w niebezpieczeństwie*



### Pierwsze chwile.

Ktokolwiek był przez środowce popołudnie na ulicach w tłumie, musiał przede wszystkim spostrzec szczególne zjawisko. Oto rozmaite dzielnice miasta widziały zgoła rozmaite fazy rozgrywających się zająć, które następowały po sobie dużo szybciej, niż wiadomości o nich. Stąd zdarzały się tak przedziwne curiosa, że podczas gdy w jednym końcu Warszawy na zamkniętym moście wrzała walka, ludzie, którzy przyjechali na spacer w Aleje i do Botanicznego ogrodu, używali miłego wieczoru, nie mając pojęcia, że mogą być odcięci od mieszkańców, bez możliwości powrotu. W wielu wypadkach miało to miejsce istotnie, i przez trzy dni warszawiacy biwakowali w najfantastyczniejszych układach. Belweder, rezydencja Prezydenta, trzymał w tem prym. Stylowe kapryśne kanapki reprezentacyjnych pokojów, przeznaczone w pomyśle na zalotne sam na sam strojnych dworskich pań, musiały służyć za łóżka, obozującym tam członkom rządu Witosa, którzy nolens volens, skręcali się w misterne ósemki i wyginali w syrenie przeguby.

O tem jednak dowiedziano się, oczywiście, znacznie później, gdyż zaskoczone

strzałami śródmieście, znalazło się nagle w matni i myślało tylko o własnej sytuacji. Rozgrywały się sceny epiczne. W popłochu i ciżbie, pomiędzy tramwajami, kopiącymi się z trudnością, jak żuki przez tłok i zabierającymi w ostatnim swym kursie maruderów z krańcowych dzielnic miasta, mijały się gromady łobuzów i łazików warszawskich, nigdy i niczem nieustraszonych z wiecznie zmrużonem na wielkie i małe zdarzenia „perskiem okiem“ i bawiących się znakomicie na koszt chwili, bez względu, jakie będą następstwa. Kobiety robiły zamieszanie, jak zawsze, ku wielkiej uciesze gawiedzi.

— Matko Boska, a cóż to się to porobiło?... — biada zażywna jejmość z przedmieścia, z plecionką prowiantów w ręce. Tylko żem sobie weszła do sklepu kupić masła i jajów, że to tu lepsze, aż jak nie rzuci się naród, jak nie polecą w Chmielną! Ledwie żem wydychała. A ludu tego na ulicy, ludu!... Pochód jaki, albo co?...

— A jakże, pochód! Wspomniała baba dziewięć wieczór. Był, ale pierwszego maja.

— Nieś pani to masło i jajka, kiedy niesiesz, a zaglądam do kosza, bo jak armata strzeli, to ci odrazu gotową jajecznicę usmaży!

— Mamusiu, mamusiu! Prędko, bo mówią, że to ostatni tramwaj! Od mostu już nie idą! Piłsudski podobno już na moście!...

— Ty, Heniek!... Słyszałeś?... Dziadek z legunami wali na Warszawę. Będzie granada, co?

— Panno Ireno, proszę za mną! Odprawdę panią do Alei, tam luźniej. Panowie, proszę dać przejść! proszę cię cofnąć!...

— A cofaj się pan sam, kiedy masz takie delikatne zdrowie! Jak takiemu żeberko uszkodzą, to zarazby wołał Pogotowia!

— Wynajmij se pan prywatną karetę, kiedyś taki hrabia!

— Antek, chorobo jedna! Będiesz się czepiał z pyskiem pana hrabiego?... Pan hrabia kupi zapaleczki, dziesięć groszy pudełko, dziesięć groszy zapalki, razem dostanę pięćdziesiątkę, co?...!

— Policja! Policja! O Jezu, duszą!...

W tłum wpada regularny czworobok policjantów i najeża bagnety.

— Rozejść się! Nie gromadzić po rogach, rozejść się! Ustąpić z jezdni! Słyszano? Ustąpić z jezdni!...

Tłum kołysze się i cofa opornie o parę kroków, wpierając się w mury domów. Tylko malcy uliczni, jak piskorze, śmigają między

dzy kołbami policjantów, nie darowują okazji.

— O jej, panie starszy, co się pan tak gniewa! To głupi tramwaj może sobie chodzić środkiem ulicy, a obywatel nie?...

Żydek przedziera się przez tłum i ostrożnie ciągnie za rękaw najbliższego przedstawiciela władzy.

— Panie policjant, ja się chciałem pana tylko o jedną rzecz spitać, czy to może być, co u nas na Dziki ulice żydki mówiły, że ten nasz rząd, to już wcale nie jest nawet nasz rząd?!

— Idź pan do Witosa, to się dowiesz na pewno. Rozejść się. Nie zagradzać jezdni!

— Nu, to czego się pan ciśniesz, kiedy ja grzecznie pitam?

— Panie starozakonny, pan naczelnik nie ma czasu. Daj pan złotówkę, to pana zaprowadzę do prezydenta.

— Zygmusiu, Zygmusiu, bój się Boga! Takeś mię wciąż napędzał i zapomniałam u mamusi parasolki, tej nowej, co to wiesz!... Chyba się wrócimy?...

— Zwarjowałaś? Na Senatorską, gdzie już strzelają? Pal diabli parasolkę! Byleby się jako dostać do domu...

— Strzelają?... Jezul A też bandyci!...

— Uważasz, Józiek?... Ta pani to myśl,

Że kto strzyla, to zara musi być bandytą. A jak porządny człowiek chce drugiego za łeb wziąć, to ma niby nie strzelać, tylko zębami kłapać, co?...

— El U nich w Kulparkowie wszystkie tak. Jenteligiencja!

— Stefan, te! Rozumiesz co? Bo ja nie. Bujda, czy też naprawdę ma co być?...

— Coby nie miało? Nie słyszałeś, jak mówiło tych dwu w mundurach? Że do wieczora weźmie Warszawę gołemi rękami.

— Niby kto?

— Niby Piłsudski! Wojsko za nim.

— Phi, phi! No a rząd? Jakże?

— A także! Nudny jesteś, jak knot w oleju. Ten rząd ustąpi, a będzie inny.

— Lewica?

— Pewnie, że nie Witos. Poto się cała chryja dzieje. O, armaty! I wojsko. Wiozą na most. Idziemy za nimi?

— Się wie. O jej. Będzie bigos, jak w zapusty!

Ponad monotonnym stugłosem ciżby wystrzelają nagle po przerwie jak czerwone race cienkie, przeciągłe recitativa gazer ciarzy:

Dodatek nadzwyczajny! Piłsudski z woj-

skami wkracza do Warszawy, nadzwyczajny dodatek!

— Dawaj! Dawaj! Tu, mały! Tu!...

Deszcz białych ulotek zawisa nad tłumem. Ogromnymi literami czarno na białym, skaczą słowa:

— W obliczu wojny domowej! Przebieg dotychczasowych wypadków. Marszałek Piłsudski wkroczył do Warszawy!

Ogromne: — Ach!... przetacza się tłumami, jak fala i na sekundę zastyga w martwą ciszę, poprzez którą na tle suchego trzasku dalekich karabinów, słychać już tylko nieodstępny odtąd aż do końca refren niezwykłych dni:

— Dodatek nadzwyczajny! Wkroczenie Piłsudskiego do Warszawy, nadzwyczajny, dodaaa...tek!

Ach, wy, Polacy!...

Pamiętam i długo pamiętać będę młodą kobietę, z wygłądu inteligentkę, z rozwianymi włosami, zlepionymi na skroni krwią, której męża trafiła jedna z pierwszych kul, gdy wchodził niemal w bramę domu przy Miodowej. Grupka osób usiłowała ją odciągnąć z pod obstrzału, a ona siedziała na bruku, na skraju chodnika, z potrząskaną głową zabitego na kolanach i błędnie patrząc przed siebie, powtarzała ochryplym,

martwym głosem wciąż tylko jedno zdanie:

Wy, polacy!... Ach, wy, polacy!... Ach... wy... Nie była cudzoziemką, była polką, mąż jej był ciężko ranny podczas najścia bolszewików, jako ochotnik. Mały syn jest skautem.

I oto —

— Wy, polacy!...

Jak policzek. Jak obelga. Jak wyzwisko i jak piętno hańby.

Jakże niedawno przelewaliśmy krew za to, żeby móc nosić przed całym światem to imię!

Wiele żon, sióstr, matek, rzuciło w pamiętną środę, 12 maja, myślą lub mową, jak groźne gniewem Bożym przekleństwo, te święte dotąd słowa:

— Wy... polacy!...

**Prezydent w niebezpieczeństwie.**

Podług relacji świadków z Belwederu przez czas odmowy prezydenta o 5<sup>ej</sup> do pierwszych strzałów o 6.30, wyjechał jeden z adiutantów sprawdzić stan obsadzenia rządowych placówek przy moście Poniatowskiego. Gdy wrócił, pan Prezydent Wojciechowski zakomunikował, że pragnie jednak obejrzeć stan wojsk osobiście i bez względu na olbrzymie przemęczenie tego dnia, udał się z tymże adiutantem autem

w objazd po raz drugi, wydając zarządzenia i przemawiając do żołnierzy i oficerów.

— Jechaliśmy w najgłębszej wierze, że Plac Zamkowy jeszcze nie jest wzięty, jak to sprawdziłem przed pół godziną sam. Zajechaliśmy spokojnie na plac, gdzie stało nasze auto pancerne. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że pilnuje go jeden tylko żołnierz, drugi leżał twarzą do ziemi, bliżej nas, zabity. Prawie odruchowo rzuciłem okiem na odznaki wartownika — i krew zakrzepła mi w żyłach, był to żołnierz z 36 p. p., którzy zdobywali ze strony Pragi most. Niezwykły hałas i ruch pod bramą zamku, na przeciwko, gdzie było poprzednio dużo mniej żołnierzy, ten zabity z naszego pułku i ten ze strony przeciwnej na warcie... Byliśmy z Prezydentem w samym środku wrogów, którzy przez te pół godziny zdobyli zamek, a my nie wiedzieliśmy nic! Jedna chwila, a mogła ich wysypać się na plac cała gromada i bylibyśmy otoczeni, bez broni i pomocy.

Wszystko to, jak burza przeleciało mi przez myśl w najkrótsze sekundy. Szepnąłem tylko prezydentowi: — To ich żołnierz!... i poszedłem wprost do niego, bo od niego i tak już odejśćbym nie zdążył. Patrzył na nas uważnie.

Z jakiego pułku zaciągnęliście tu wartę?  
 — Z trzydziestego szóstego pułku piechoty. A pan major?

Natchnienie widocznie nawiedza człowieka w chwilach przełomowych. Miałem na odznakach litery „J. P.” — pułk imienia księcia Józefa Poniatowskiego. J. P., Józef Piłsudski! Wskazałem je obojętnie żołnierzowi, który w milczeniu odsalutował. Odwróciłem się i miarkując krok, wsiedliśmy z prezydentem w oczekujące auto.

Ale też i była to chwila ostatnia. Z okien zamku spostrzeżono nas i poznano. Gromada ludzi wypadła z pod bramy, a za autem sypnęła się garść kul. Pędziliśmy jednak całą parą i, na szczęście, prezydentowi ani nikomu z nas nie stało się nic. To właśnie zajście dało powód do wieści, jakoby prezydent po raz drugi jeździł na most dla pertraktacji, co nigdy nie miało miejsca.

Dopiero później dowiedzieliśmy się, że w trakcie naszej wycieczki oddziały marszałka Piłsudskiego natarły na rządowe i wyparły je ze Zjazdu w głąb Krakowskiego Przedmieścia, zdobywając zamek, co nastąpiło w najkrótszym czasie skutkiem przejścia na stronę zdobywcy załogi rządowej. O mały włos, nie wiedząc o tem nic, nie trafiliśmy w fatalną matnię. Książę Józef wiadocznie miał nas jednak w opiece!



Przejina prośba o zamykanie okien

WANDA MELCER-RUTKOWSKA

*Przez okno z Podchorążówki*

*Major Porwit*

*Pół rogala*

*Obowiązek stróżowski*

*W Filharmonji*

*W Konserwatorjum*

*Sanitarjusz*

*Na Czerniakowskiej*

*U szwoleżerów*

*Ranny brat*

WALTON WELLS PUBLISHED BY

### Przez okno z Podchorążówki.

rozumiała pani, która mieszkała w Podchorążówce, że nie wszystko idzie normalnie. Cała młodzież była w Rembertowie i właściwie już nikt się nie spodziewał, że będzie mogła wrócić. I właśnie wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewano, Alejami Ujazdowskimi przechodził wiwatujący tłum, pełen entuzjazmu i nadziei.

— Niech żyje Piłsudski! — wołano.

— Niech żyje Józef Piłsudski!

Razem z tym rozkrzyczanym, radosnym tłumem przeszli Alejami, by dostać się do szkoły, miodzi podchorążowie.

Nastał rozjaśniony, piękny, ciepły zmrok letniej nocy. W Alejach opustoszało. Bzy pachniały mocno, na niebo podnosił się okrągły księżyc. I nagle w tej cichej nocy zaszczękały gwałtownie kopyta: to szwoleżerowie przemknęli w szalonym galopie. O drewniane kostki uderzyły mocno kopyta i znikły. Cały oddział przewalił się gdzieś w mroki, zginął.

A teraz bez szelestu nadpłynęły auta od miasta. Parę moonych maszyn szło obok siebie, rozświetlając noc jarzącymi się oczami reflektorów. W autach siedzieli dostojnicy, to cały Rząd sunął do Belwederu, by

znaleźć w nim schronienie. Jechali ministrowie, jeden obok drugiego, przywarci w pędzie do równo płynących maszyn, które ich przewoziły, sunąc wśród ciemnej nocy. Ot, zdawałoby się, że to mała, niewinna wycieczka, partie de plaisir podczas masjowej nocy. Trochę tylko niepokojąco wyglądają te czarne sylwetki, które oblepiły boki samochodów i suną razem z nimi. To żandarmerja, stojąc, po paru, z karabinami, gotowemi do strzału, broni i otacza przewożonych, czuwając nad ich spokojem. I ten obraz miga pośpiesznie, ginąc zaraz w ciemnościach nocy.

Teraz wizja, jak koszmar, jak pochód z Apokalipsy. Stłoczone, rwące konie bez jeźdźców, oszalałe ze strachu od dalekich a coraz bliższych strzałów i własnej gorącej, rozhukanej obecności. Wmieszani w tłum, jeźdźcy na koniach, z których jeden trzyma się dobrze w galopie, podczas, kiedy inni zwieszają się z siodeł w dziwnych, nie dbałych pozycjach. Z ręki omdlałej wydzielają się niechętnie cugle. Już któryś wali się w pędzie z konia na ziemię, uderzając głową o lipę przy trotuarze. Czarna po nocy krew wsiąka z pośpiechem w trawę. Już i ci przelecieli z tetętem, krzykami i rżeniem.

Jakże rozważnie przemykają potem nowe

auta z generalami. Oto Józef Haller, a oto generał Suszyński. Ciemne drzewa w Alejach Ujazdowskich chwieją lekko cienkimi, młodemii listkami, zaledwie rozwiniętymi z pąków. Grube pnie, które jutro podziurawione będą tysiącem wystrzałów, stoją teraz poważnie, mało widoczne w ciemnościach. Przejechali.

Następna noc była spokojna. A potem zaczęły się walki, zaczęło się strzelanie, lała się krew. Siedmiuset młodych podchorążych stawało, jak lwy w tej swojej pierwszej rycerskiej potrzebie. Męstwo tych młodych żołnierzy było piękne i proste, jak wypełnianie obowiązku bez niepotrzebnych frazesów. Obowiązku wojennego posłuszeństwa i wojennej dyscypliny.

I tylko w okna Podchorążówki bił nieustający ogień, podtrzymywany przez całą dobę prawie przez dwóch strzelców, którzy ukryli się w ogrodzie Botanicznym i tam się trzymali cudem wytrwania i odwagi pomimo poszukiwań i patrolów.

Kiedy się zaczął ostatni bój na ręczne granaty, wszystkim się stało wiadome, że to koniec. Ostatnie ataki oparły się jeszcze na linii między szkołą a gmachem Województwa. Podchorążowie zmuszeni zostali do

opuszczenia gmachu, pułk poznański stanął arjergardę.

A potem w blaskach uparcie świecącego, zachodzącego słońca, z okien Podchorążówki można było oglądać tłum, biegnący ku zdobytemu i porzuconemu przez prezydenta Belwederowi, strojący kapelusze i laski w połamane, belwederskie bzy.

### Major Porwit.

Marszałek Piłsudski stanął na moście Poniatowskiego oko w oko z majorem Porwitem, dawnym piłsudczykiem, fanatykiem osoby pierwszego Naczelnika Państwa. Marszałek poznał majora odrazu, choć tamten, wyprężony w doskonałej, wojskowej postawie, nie postąpił ku niemu ani kroku.

Marszałek Piłsudski położył rękę na ramieniu majora.

— Majorze, jesteście z Legjonów...

— Tak, panie Marszałku.

Konflikty, jakże częste, porywającego, pożerającego uczucia z surowym nakazem. Posłuszeństwo, łamiące się w ciężkiej walce z marzeniem, zwyciężające wreszcie. Sprzeczna gra westchnień i okamienienia, ramię, sprężone w posłuszeństwie, które pragnie zrobić gest powitania. Żołnierski mundur na żywej, czującej duszy.

Pod mostem toczą się wiślane fale — uderzając glucho o filary. Pozatem oczekiwanie i cisza.

— Przepuści mnie pan?

— Nie, panie Marszałku, z rozkazu pana Prezydenta!

### Pół rogala.

Podczas największych strzałów panie z Rodziny Wojskowej w Podchorążówce nocowały w korytarzach, bo przez okna padały kule. Dziś jeszcze, kiedy idę ulicą, albo jestem w mieszkaniu znajomych, i patrzę w okna, widzę okrągłe otwory w szybach, jakie pochodzić mogą tylko od kuli: żaden inny przedmiot w ten sposób szkła nie rozbija. Jest to zawsze mały, okrągły otwór, przy którym szkło nie pęka. Teraz szklarze będą mieli ogromnie dużo roboty z wprawianiem szyb i zapewne tak prędko się z tem nie uporają.

Z innymi paniami razem opuściła swoje słoneczne mieszkanie pani majorowa P., a potem nietylko mieszkanie ale i korytarze szkoły. Wzięła swojego małego, dwuletniego synka i jego niańkę i poszła się ukryć do piwnicy. Niektóre z tych pań miały męża po tej, inne po tamtej stronie miejskiej

go frontu. Jej właśnie mąż był po tamtej, co się nie wszystkim podobało.

Nibyto były przecież zrobione zapasy, jeszcze wieczorem w tę środę, kiedy się wszystko zaczęło, nie wystarczyło to jednak. Ludzie na Natolińskiej jedli przez dwa dni kartofle i nawet bez masła, bo właśnie na tych ulicach jest przecież tak mało sklepów, i nigdzie już nie można było nic dostać. I teraz więc chłopiec był głodny a nic do zjedzenia nie było. Prawdopodobnie powiedziała mu wtedy matka:

— Nie płacz, synku.

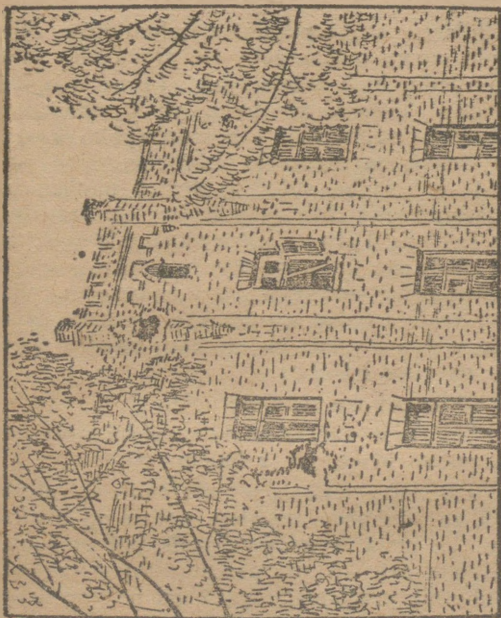
Ale chłopiec grymasił i płakał.

Wtedy prosty robotnik, jeden z tych, którzy zatrudnieni byli w Podchorążówce, a teraz siedzieli w piwnicy, powiedział do matki:

— Przyniosę mu chleba.

Nikt nie wiedział, jak on to zrobi, ale on pamiętał, że w swoim pokoiku na półce ma jeszcze jeden duży rogal. Teraz chodziło tylko o to, żeby się do tego rogala dostać.

W piwnicy było trochę duszno i ciemno, kiedy robotnik wyszedł na schody, uderzył go pęd świeżego, czystego powietrza z błękitnego nieba. Teraz trzeba było jeszcze wyjść na podwórze między domami. O dach



Uciechowska szkoła niezniszczona po jej zdobyciu  
od wojsk rządowych.

regularnie stukały kulki z kulomiotów. Nie było mowy o tem, żeby iść prosto, bo właśnie jedna kula odbiła tynk od przeciwległej ściany. Trzeba się było, wpół zgławszy, czołgać pod murami, a potem szybko wpaść w drzwi, na szczęście uchylone. Oto pokój — i szyba zbita w dwóch miejscach, przestrzelona dwa razy na wylot, przekłuta, jak igłą. I oto na półce rogal. Ale w chwili, kiedy się do niego wyciąga ręka, jeszcze jeden ścieg przeszywa ten nędzny pokój, jak zaklęta barjera, poza którą przekroczyć nie wolno i wystrzał bzycający znaczy ścianę na ukos od okna.

Więc znowu ręka się cofa.

Trzeba wyczekać na odpowiedni moment. A potem uciec, jak z lupem.

Pięć razy wykpiwszy się śmierci, robotnik ze zdobytym rogalem wrócił do piwnicy. Ta mała wyprawa trwała pół godziny. Głodne dziecko nie przestawało narzekać. Robotnik przełamał rogal i dał połowę dziecku pani majorowej, zostawiając drugą połowę dla dwojga własnych dzieci.

My już dzisiaj-wiemy, że to oblężenie trwało tylko dwa dni, ale oni wtedy nie wiedzieli, że tak będzie.

## Obowiązek stróżowski.

Kapral Janek zamiata Podchorążówkę. Otoczony jest dymem i obłokami kurzu, jak była delficka Pitja. Oczywiście nie pierwszy raz w życiu to robi, jest to jego codziennym obowiązkiem od bardzo wielu lat. Świat się przewraca, zamiast śpiewu ptaków słychać głos żelaznych ptaków, w powietrzu gwizdzą metalowe kosy, trafieni ludzie padają. Na dachu leży trup kogoś, co nicostroźnie coś tam naprawiał. W złotej smudze pyłków, wirujących w rozświetlonem na słońcu powietrzu widać, w dalekiej perspektywie, młodych podchorążych, jak pospiesznie i miarowo nabijają karabiny. Biała ściana splamiona krwią.

A Janek zamiata. Wieloletnie doświadczenie nauczyło go tej prostej prawdy, że gdzie jest kurz i śmiecie, tam potrzebna jest miotła. Tak właśnie przedstawia się dla niego surowa postać obowiązku, tak właśnie reaguje on na wypadki dziejowe. On jest poto, żeby tu było czysto i porządnie, reszta go nie obchodzi.

Przez klatkę schodową ktoś się wali na wyższe piętro, twarz czarna, ręce dygocące w pośpiechu. Nogą, obutą w grube buty, rozrzuca śmiecie, tak pięknie, tak starannie

zebrane w jeden kąt. A przecież tutaj właśnie miotła już prawie dokonała swojego dzieła i tryumfująco miała się posunąć dalej. Janek smętnie spogląda na swoje dzieło, na udaremnione zabiegi długiego kwadransa. Trzeba będzie zacząć od nowa.

Teraz znowu dwaj przebiegają, jeden omal nie przewraca się przez miotłę i pędzi dalej. Drugi zatrzymuje się, by pokląć trochę, ale przerywa sobie i zwraca ku Jankowi swoje młode, marsowate oblicze, czarne od potu i krwi, która płynie wąskim strumyczkiem koło nosa.

— Janek, cholero, teraz będziesz schody zamiatał?

A Janek zwraca ku niemu nieulekłe oblicze i przygląda mu się, jak komuś, który najwidoczniej nie rozumie doniosłości chwili, przygląda się z politowaniem. Potem, nie spiesząc się, uznaje za stosowne odpowiedzieć głosem, którego słuszną surowość umiejętnie maskuje:

— Jakże to, jak Dziadek przyjdzie, to ma myśleć, że to chlew, nie szkoła?

### W Filharmonji.

W niedzielę 16 maja miał się odbyć w Filharmonji koncert, na którym poraz pierwszy miało być wykonane dzieło młodego

kompozytora, który tylko co ukończył szkołę muzyczną. Ten młodzieniec pisał swoje kompozycje na orkiestrę ale oczywiście nie słyszał nich nigdy, bo nigdy ich nie wykonał, można więc sobie wyobrazić, jak bardzo zależało mu na tym koncercie.

We czwartek o dziesiątej rano miała być przedostatnia próba tego koncertu. Dyrygent szedł przez Nowy Świat, ale Nowy Świat był już od ulicy Chmielnej zamknięty, stało tam wojsko, a za wojskiem dwa tanki, dziwne, pstrokate zwierzęta pomalowane ciemno i niespokojnie na kolor wojny. Kule było słychać blisko, na nieparzystej stronie ulicy było mało ludzi a dyrygent nie mógł iść prędko, bo był chory, uważał jednak, że powinien być na próbie, bo przecież 'dziwnie by to wyglądało, żeby jego jednego tam zabrakło.

Na placu Wareckim na rogu stała mała armatka połowa, w cieniu drzew, na trójkątnym skwerze, leżeli żołnierze w metalowych kaskach, jak kubelki. Żołnierze stali w bramach domów. Wywalona zielona skrzynia od roślin służyła im za okop. Trochę czarnej ziemi rozsypane było naokoło.

W Filharmonji był dyrektor i kompozytor. Dyrektor przyszedł na tę próbę z ulicy Polnej, kompozytor z Żoliborza. Tram

waje nie kursowały, był to właśnie ten dzień generalnego strajku.

— Zostawiłem w mieszkaniu żonę — powiedział kompozytor, — ale się o nią boję, bo kiedy tylko w mieście jest niepokój, znajdują się zaraz jacyś uzbrojeni w kije sąsiadzi, którzy organizują napad na naszą kolonję, żeby nam odebrać mieszkania. Sami nie mają mieszkań i nazywają nas nędznymi burżujami i arystokracją.

Potem mówił dalej.

— Kiedy szedłem szosą, nisko zupełnie przelatywał aeroplan z karabinem maszynowym, zasypując kulami całe przejście w dużym promieniu. Niejeden był taki moment, kiedy leżałem w rowie, nie śmiać się podnieść ani nawet głowy pokazać. Dlatego tak długo trwała moja podróż.

Jeszcze potem poszedł się witać z kolegą, którego przyprowadził do gabinetu. Dziękował mu serdecznie za przyjście. Tamten był brudny i zakurzony, jego długie buty białe były od kurzu.

— Czy pan zdaleka?

— Przyszedłem z Utraty, a że koleje nie chodzą, musiałem iść pieszo. Bagatela, trzystaście wiorst, nie pierwszy raz robię tę drogę. A czy próba będzie?

Nie, próba nie mogła się odbyć, bo jed-

nak przyszło za mało członków orkiestry. O dwunastej miały przyjść chóry, ale i to nie było pewne. Większa część tych ludzi mieszkała w odciętych dzielnicach.

— Jeden aeroplan zestrzelono pod Powązkami — powiedział przyjaciel kompozytora. — Słyszałem huk, a potem widziałem, jak wirując spadał na ziemię. Potem mówiono mi, że zestrzelono drugi.

Wszyscy musieli się rozejść, próba nie odbyła się. Na mieście ciągle strzelano. Każdy wrócił do swojego domu, — na Żolibórz, — na Utratę, — poprostu na ulicę Chmielną.

### W Konserwatorjum.

Ponieważ jestem córką muzyka, wiem, co robili w ten dzień muzycy. Nie można przecież było w ten dzień odwoływać lekcji w Konserwatorjum, więc w piątek 14-go mają wszyscy profesorowie, którym tego dnia wypadały lekcje, stawili się na miejsce. Było ich razem siedmiu. Wszyscy zebrali się w kancelarji, która, jak wiadomo, rozdzielona jest na dwie części olejno malowaną, żółtą barjerą. Na tej właśnie barjerze posiadali profesorowie, bo krzesel jest zawsze zamało. Usiedli, opowiadali sobie, gdzie właśnie są wykopane strzeleckie rowy, w ja

kiej bramie i u którego z nich pochowali się żołnierze i na jakiej ulicy strzelają, a także, że na placu Trzech Krzyży trzeba było trzy razy padać plackiem na ziemię, bo blisko pękały granaty.

Patrzyli się smętnie na dużego, olejnie wymalowanego anioła, który wisi na bocznej ścianie, oprawiony w bardzo cienką, złotą ramę. Ten anioł nie jest dobrze namalowany, ale trzyma jedną rękę na klawiaturze organów, podczas kiedy w drugiej ręce dzierży miecz.

Patrzyli też na kasztany za oknem, które pięknie rozkwitły w słońcu, grzejącem mocno.

I czekali na uczniów.

Jakaż to była radość, kiedy przyszedł woźny i powiedział, że przyszedł uczeń wprawdzie jeden jedyny tylko, ale uczeń. Nie wiadano, jak mu okazać swoje uznanie. Ktoś zaproponował, że w ten dzień, w nagrodę, że przyszedł, powinien wziąć lekcję od każdego profesora z obecnych, żeby porządnie mógł skorzystać i dużo się nauczyć. Powstawały rozmaite projekty. Przecież jakoś trzeba było wyróżnić tego jedynaka, który przyszedł do siedmiu profesorów.

Niestety, wszystkie złudzenia rozwił ten

nam woźny, który znał ucznia i wiedział jego nazwisko. Okazało się, że nie chciał on wziąć żadnej lekcji. Był to uczeń klasy organowej, i przyszedł sobie tylko z Żelaznej czy z Nowowiejskiej, żeby poćwiczyć na organach, bo miał coś trudnego do nauczenia się i żał mu było czasu.

### Sanitarjusz.

My byliśmy cały czas okopani w Konserwatorjum, jak w najgroźniejszej fortecy: to przecież dawny zamek, może i obronny. Mury są tak grube, że nieomal, jak po murach Troi, możnaby na nich jeździć dwukonną kwadrygą. Okna to prawdziwe tunele i wchodzi się do nich po schodach. Jest dyne miejsce, żeby się ukryć!

Dlatego też wieczorem we środę przyszedł do nas młody chłopiec, może czterystastoletni, kolega syna gospodyni i prosił, żeby go przenocować, bo boi się wracać do domu. Rodzice jego mieszkali na Czerniakowskiej, a właśnie wieczorem strzelali tak gęsto, że nie było możliwe wyjść z domu.

Ten chłopiec nie był bardzo odważny. Dziwił się nam ciągle, że chodzimy i biegamy po mieście, że okna są otwarte (wychodziły zresztą tylko na ogród), że możemy spać w nocy. Sam bał się strasznie, że mo-

że mu się coś stać i opowiadał z przerażeniem, że tak nisko na Powiślu latał aeroplan. Trudno nawet było te strachy pogodzić z jego męską postawą, bo chłopaczysko, choć mocno niedorosłe, było duże i rozrośnięte.

— Moja matka dzisiaj nie poszła do miasta. Kiedy ogonek stał przed sklepem z pieczywem, to z okna do ogonka strzelali. Wszyscy ludzie rozbiegli się i już potem nie można było dostać.

Służące trochę się z niego śmiały, bo opowiadał im cały wieczór różne straszne rzeczy. Potem kucharka przyszła do mnie prosić, żeby mógł spać w stołowym, na co się oczywiście zgodziłem. Rozesłały mu materac na podłodze, nakryły prześcieradłem, i tak noc spędził, nasłuchując huku armat.

I nagle rano wszystko się odmieniło. Chłopiec wyszedł od nas o świcie i poszedł tamką w dół. Niebo już było różowe, ale słońce nie podniosło się jeszcze dość wysoko, żeby je było widać ponad domami. Oświetlone były tylko mocno ściany domów, na których domy obok rysowały niebieskie cienie. Ulica była jeszcze spokojna i cicha, żadnych przechodniów. Potem od Kopernika zasapał samochód i zjeżdżał

z pochyłości, poskakując na okrągłych, wyboistych kamieniach.

Chłopiec obejrzał się, kiedy już samochód był przy nim. I nawet przy nim się zatrzymał. W samochodzie siedział doktor i student w czapce Uniwersytetu Warszawskiego, obaj w białych fartuchach.

— Dokąd idziesz? — zapytali.

— Do domu.

— A nie pojechałbyś z nami zbierać rannych? Nie mamy ludzi do pomocy.

Chłopiec wsiadł do samochodu i pojechał. Nic w tem trudnego nie było. Zjechali na dół i objeżdżali ulicami nad brzegiem Wisły. Tutaj bardzo strzelali i strzały padały zbliska. Samochód się zatrzymał. Trzeba było iść z noszami i zbierać rannych.

Kule przestawały świstać, kiedy sanitariusze przechodzili linię bojową, żeby zaraz potem rozpocząć znowu swoją piekielną muzykę. W gradzie pocisków trzeba było chodzić i klękać i znowu wstawać, wypełniać wszystkie funkcje ratowania rannych i wynoszenia zabitych. Plecy zginały się i bolały, od ciężaru noszów, drągów drewnianych, na których ktoś martwy naciskał całym swoim nieznośnym ciężarem.

Nie było już teraz pewne, czy to właśnie to miarowe siekanie maszynowych-ka-

rabinów, czy te huki granatów są bezpośrednią przyczyną tylu śmierci i tylu ran. Umysł nie odróżniał już związku między przyczyną i skutkiem. Od nieznośnego huku pękały uszy i zawracała się głowa. Ale siła niejszy ponad wszystko nakaz rządził słabem ciałem ludzkim, które spełniało bez protestu trud, zdawało by się, nad siły.

Chłopak przechodził i wracał, krzyczał i wzywał. Wiatr poranku rozwał mu włosy, a potem słońce południa paliło skórę. Nie czuł pragnienia i głodu. Oczy jego błyszczały, a ręce wyciągały się same. Pracował. Pomagał.

Pomagał jednym w ciężkim trudzie umierania, tuląc do kurtki czyjaś głowę ze zlepionymi od potu włosami. Pomagał cierpieć innym, i tym, którzy osłabli i zmiłkli, i tym, którzy krzyczeli głośno, wzywając pomocy, i tym, którzy jęczeli i rzucali się, nie dając do siebie dostąpić. Szedł już pod strzały, kiedy jeszcze nie przestawali strzelać, i kiedy już zaczynali. Potem odwoził do szpitala partje cierpiącego, ludzkiego mięsa, a ręce miał we krwi i krew była na jego grubych, dziecięcych butach.

Tak minął cały dzień. A kiedy przyszedł wieczór, wysadzili go z auta na Nowym Świecie i kazali iść do domu. Wtedy znowu

przyszedł do nas do kuchni, bo chciał opowiedzieć kucharce, co się z nim działo, ale był tak zmęczony, że popatrzał tylko naokoło i nic nie powiedział. Siedział wtedy na stolku, wyprostowany, jak zwykle, kiedy weszłam do kuchni. Jak mnie zobaczył, wstał i milcząco mi się uklonił, szurając nogami.

— No i gdzieżeś był? — spytała się kucharka. — Przychodziła tu twoja matka, pytać się, co się z tobą dzieje, smarkaczu. Nie powiedziałam jej, że poszedłeś do domu, bo by się bardzo bała. A ty coś robił?

— Rannych wozilem — powiedział. Nigdy, jak pamiętam, nie miał daru wymowy.

Wszyscy byli zaciekawieni, jak się to stało, ale był zmęczony, i nie umiał nic powiedzieć.

— I nie bałeś się? — spytała go Władzia.

Spojrzał na nią okrągłymi oczami, jakby dopiero w tej chwili nad tem się zastanowił.

— Bardzo — powiedział.

### Na Czerniakowskiej.

— Bo to, moja pani, żeby już albo tak, albo siak.

— Tak, człowiek by przynajmniej coś

wiedział. Już mówili, że ma być król a teraz nawet prezydenta niema.

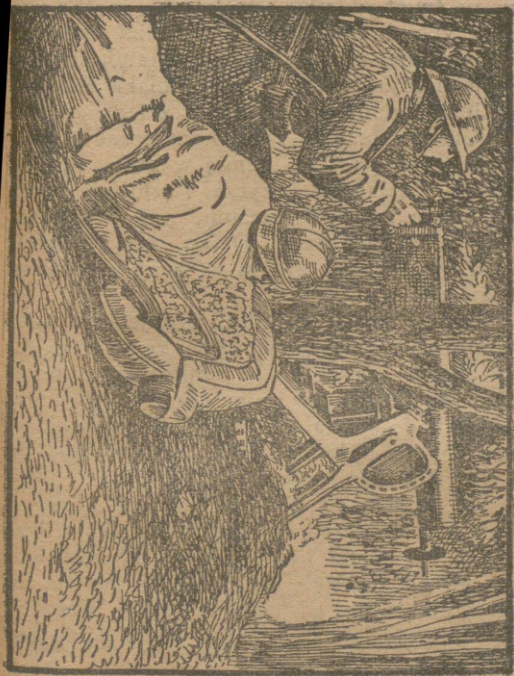
— Ani mąki, moja pani, a za mózgiem do naleśników to już trzy godziny stoję.

A tymczasem między te dwie rozinawiające w bramie damy wpadł żołnierz. Żołnierz, niby to, jak każdy inny, szaro ubrany, i z karabinem w ręku. Od innych żołnierzy różnił się tylko tem, że płakał. Nie dbając na żołnierski honor, upadł ciężko na schodki, prowadzące do mieszkania dozorca, ujął w obie ręce głowę, z której czapkę gdzieś na ulicy zgybił, i tak tą głową w rękach kiwał na obie strony, jak rzeczą niepotrzebną, z którą, co zrobić, niewiadomo.

Tamte dwie kobiety stanęły nad nim, dozorca z żoną wyszedł ze swojego mieszkania, przechodzący robotnik zatrzymał się, by posłuchać i popatrzeć, co się tutaj dzieje.

A wtedy żołnierz zerwał się i patrząc im prosto w twarze szeroko otwartymi oczami, pytał się, jakby mu mogli odpowiedzieć.

— Dlaczego to ja się mam ze swoimi, z Polakami bić? My do nich, oni do nas, Jezuu, Jezuu, a wszyscyśmy bracia. Strzelać, zabijać, mordować, jeden do drugiego z karabinu mierzyć, taka teraz nasza robota. Doły kopać, okopy, jeden na drugiego napada, ty draniu, brat na brata krzyczy. Po to ja



Karabin maszynowy na ulicy w ostatnim etapie walk.

się na świat rodziłem, po to mnie matka wydała, żebym na takie rzeczy miał patrzeć? Żebym miał sam, własnymi rękami, ten karabin nabijać, który w serce Polaka mierzy? O Jezu, zglądź mnie w pierw z tego świata!

Omi go słuchali, pełni konsternacji, a on tymczasem padł na ziemię w ataku nerwowym. Zwijał się, krzyczał i szłochał, precz od siebie odrzucił karabin, pas żołnierski odpasał z bagnetem. Dziko toczył oczami i usta wykrzywił, aż mu się zęby z za warg pokazały.

Ludzie się zlekli, kiedy przyjechało auto sanitarne, wyszli powiedzieć, że w sieni leży chory. Zeszli dwaj sanitariusze, przenieśli go sztywnego i nieruchomego do auta, zawieźli do szpitala I-szego Pułku Szwoleżców, bo to było najbliżej. Tam widział go i mówił z nim ksiądz kapelan i inni. Najpierw wysłuchali go, bo krzyczał i jęczał. Potem nakrzyczeli na niego i kazali mu być cicho, bo dostał histerycznego ataku. Rozegrali go, położyli do łóżka, bo znowu zesztynniał i sam jak trup wyglądał. Wszyscy inni dopytywali się, co mu jest i gdzie został ranny.

Potem wszystko przeszło i żołnierz uspokoił się.

## U szwoleżerów.

W koszarach pierwszego pułku szwoleżerów zostały na te dnie kobiety, dzieci i około stu żołnierzy, a może stu dwudziestu, z czego osiemdziesięciu szwoleżerów i trzydziestu strzelców. Obsadzono żołnierzami odcinek koło Agrykoli, rejon od Szkoły Podchorążych, róg Czerniakowskiej i róg Huzarskiej. Pierwszy atak nastąpił o świcie w czwartek 13-go maja, najsilniejszy od strony pałacu. Zginął odrazu na początku strzelec na prawem skrzydle. Huraganowy ogień prowadzony był z gmachu przybocznego szwadronu Prezydenta, jako z najbardziej wzniesionego punktu, dominującego nad całą równiną. Tam strzelano ze wszystkich pięter. Po południu szwoleżerom przybył z pomocą 1-szy pułk strzelców konnych, jednak ataki strony przeciwnej ponawiały się co kilka godzin. Wreszcie wojska rządowe obeszły od strony pomp i oskrzydliwszy w ten sposób koszary, zmusiły załogę do wycofania się. W nocy szwoleżerowie kontratakami odbili swoje koszary.

Zebrani żołnierze nie przedstawiali żadnej jednostki organizacyjnej, byli to wszystko prawie żołnierze nielinjowi, niewprawni

w boju. Oficerowie, którzy nimi dowodzili, nie mieli w ręku wyćwiczonej, zgodnie się poruszającej maszyny, ale garstkę ludzi, przypadkowo zebraną, która chciała się bronić.

Cały pułk był wtedy bądź na lotnisku, bądź koło Dworca Wiedeńskiego. Do mieszkania generała Orlicz-Dreszera wpadły trzy kule i porozbijały ściany. Jego żona była cały czas na miejscu, opiekując się rannymi i podtrzymując ducha w żołnierzach.

Kiedy na oczach wszystkich padł pierwszy ranny, panna C. z drugą jeszcze panią rzuciły się pod kule, żeby mu pomóc. Za ledwie udało się je powstrzymać doktorowi, który nieomylnym swoim okiem dostrzegł odrazu, że raniony był już trupem. —

Cały rejon koszar był w nieustającym prawie ogniu czterdziestu karabinów maszynowych, z Huzarskiej na Ułańską waliły działa. Sześćdziesięciu żołnierzy poległo. W sanitarjacie pułkowym było dużo rannych, zarówno obrońców koszar, jak i z wojsk rządowych, których zwoziły automobile czerwonego krzyża. Jednymi i drugimi opiekowano się jaknajtroskliwiej, doktor Łaski dzień i nocą nie opuszczał sal szpitalnych, kapelan I-szego Pułku, ksiądz

Gawinek, udzielał pociechy religijnej dysponował na śmierć umierających.

Wszystkie domy podziurawione są kulami. Kiedy wychyliłam się z okna, zobaczyłam zdaleka dom szwadronu przybocznego, który ślady od kul zahaftowały misterną koronką.

Nie można mówić o tem, kto sprawiał się najdzielniej. Gdyby chcieć wymenić najwaleczniejszych, trzeba by wypisać sto 'dwadzieścia nazwisk.

### Ranny brat.

Pewien znajomy mi młodzieniec szedł sobie właśnie ulicą Śniadeckich, kiedy zobaczył i usłyszał jednocześnie, że z bramy Wyścigów grają salwy karabinowe. Ponieważ każdemu jest życie mile, postanowił i on zawrócić, wprędce jednak zorjentował się, że niezupełnie to jest możliwe. Za nim posuwało się dość szybko, z niezmiernym za to hałasem auto pancerne, dziwacznie pomalowane i terkoczące gadatliwie z maszynowego karabinu.

To właśnie te auta, których pancerza nie może przebić kula, trafiająca pod kątem, bo zawsze się wtedy ześlizgnie. Biada jednak, jeżeli trafi prostopadle do płaszczyzny blachy: przebije ją niechybnie. Tak się wła-

śnie zdarzyło z porucznikiem M., który przy tej okazji, trafiony w szyję, zginął.

Przestrzeń była mała pomiędzy dwoma ogniami. Młody człowiek uskoczył za węgiel domu, przyciskając się do ściany i starając się zrobić jaknajcieńszym, co mu się względnie udało. Już oto jednak nadzieją dążyło coraz bliżej auto, ziejąc piekielnym ogniem.

Nagle z auta zauważono melancholijną postać.

— Cóż te cywile, psiakrew, pętają się pod kulami? — zagrzmiało z echem wystrzałów. — A pójdiesz, cholero! Czego się tu tkasz, gdzie nie trzeba? Szpieg, czy co?

Przez czas tej pięknej przemowy karabin maszynowy nie umilkł ani na chwilę, a z bramy wyścigów odpowiadało mu zajądłe naszczekiwanie kul. Chwila była, istotnie, osobliwa i mało nastrajająca do pogawędki. Cóż tu odpowiedzieć?

— Muszę przejść tędy, mam brata ranego w szpitalu Ujazdowskim, nie mogę go samego zostawić.

— Hm, masz brata, cywilul — zagrzmiało tym razem łagodniej z pośród grzmotu wystrzałów. — Ale cóż ci przyjdzie z tego, nieboże, cholero, jak ja każę przestać strzelać? My cię puścimy, a tamci cię zabiją.

— Przestańcie chociaż, żebym mógł przejść na drugą stronę!

Niebezpieczeństwo zbliżało się, już kula zadrapała mur koło nieszczęśnika.

Pancerka zaprzestała ognia. A potem ten sam głos z wewnątrz rozbrzmiał jeszcze donośniej:

— Te, przestańcie no tam strzelać, facet ma brata w szpitalu.

Brama Wyścigowa zamilkła, jak ręką odjął. Cywil skłonił się i zmykał, sadząc, jak zając, przez nierówny bruk.

Oczywiście był to dziennikarz, który też zaraz pobiegł pędem na Lotnisko, żeby się przypatrzeć zbliska temu, co się tam działo.

---

## DOKUMENTY CHWILL

Uchwały Centr. Kom. Wyk. P. P. S.

Centralny Komitet Wykonawczy P. P. S.,  
zebrany na posiedzeniu w dn. 15 maja uchwalil,  
co następuje:

1) Natychmiastowe rozwiązanie Sejmu i Senatu.

2. Prezydentem Rzeczypospolitej powinien zostać Marszałek Józef Piłsudski.

3) Powinien być utworzony Rząd Robotniczo-Włościański, bez udziału partji popierających krwawy i sprzedajny Rząd Witosa.

4) Musi nastąpić zasadnicza zmiana polityki byłych rządów wobec mniejszości narodowych.

5) Złodzieje grosza publicznego, piastujący urzędy państwowe, a zwłaszcza byli ministrowie: Kucharski, Witos, Kiernik, Osiecki, Zdziechowski, Korfanty, Moszczeński mają być doraźnie ukarani.

C. K. W. P. P. S., oddając hołd ofiarom klasy robotniczej i wojska, bohatersko walczącym przeciwko rządowi hańby narodowej, i wyrażając serdeczne uznanie w dniach walki, wzywa robotników do organizowania swoich sił i do baczności na każde wezwanie Partji, dopóki walka z reakcją nie będzie zwycięsko zakończona.

Grupa posłów i senatorów z 5 stronictw.

prawicowych i klubu posła Dubanowicza, na zebraniu niedzielnym uchwaliła wysłać następujący telegram do Warszawy:

Marszałek Sejmu Rataj

Warszawa.

*Niżej podpisani posłowie i senatorowie wobec niemożności swobodnego w obecnych warunkach obradowania Zgromadzenia Narodowego oświadczają się przeciw zwołaniu go do Warszawy.*

*Telegram podpisali posłowie i senatorowie:*

*Ks. Pręczyński, Puławski, Steinbora, ks. Stychel, Szuldrzyński, ks. Bratkowski, Brzeziński, Czerniewski, Stefan Dąbrowski, Dubanowicz, Hertz, Jaroszyński, Jasiukowicz, Kapalczyński, Kawecki, ks. Kubik, Leśniewski, Marciniak, Marweg, Mierzejewski, Milczyński, Nader, Osiecki, Paszkowski, Pawlak, Petrycki, Piechocki, Piotrowski, Pluciński, Roch, Rzepecki, Socha, Seyda, Sokolnicka, Sołtysiak, Adam i Leon Żółtawscy.*

\*

Klub parlamentarny Zw. Lud.narod. obradował dn. 20-go maja nad sytuacją. Referat wygłosił pos. St. Głabiński. Uchwalono rezolucje następujące:

1. Klub parlamentarny Zw. lud.-nar. składa hold wszystkim poległym w obronie prawa, konstytucji i prawowitego rządu.

2. Klub Związku lud.:nar. wyraża gorące słowa uznania i podziękę regularnym wojskom, tak oficerom, jak i żołnierzom, oraz młodzieży, walczącym po stronie prawowitej władzy.

3. Klub Związku lud.:nar. domaga się od marszałka sejmu, pełniącego obowiązki prezydenta Rzeczypospolitej, oraz od rządu przywrócenia w całej pełni swobód konstytucyjnych, natychmiastowego wypuszczenia na wolność wszystkich aresztowanych wojskowych i cywilnych, którzy stali po stronie rządu prawowitego, rozbrojenia i rozwiązania organizacji strzeleckich i milicji partyjnych, zaniechania aż do wyboru prezydenta Rzeczypospolitej i do czasu utworzenia nowego rządu wszelkich zmian na stanowiskach w armji i w urzędach cywilnych.

4. Klub Związku lud.:nar. domaga się szybkiego zwołania Zgromadzenia Narodowego w odpowiedniej miejscowości poza Warszawą, zabezpieczającej swobodę wyboru.

5. Klub Związku lud.:nar. jednomyślnie aprobuje dotychczasowe postępowanie prezydium klubu“.

Dnia 22 maja pojawiło się obwieszczenie marszałka sejmu w sprawie zwołania Zgromadzenia Narodowego dla wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej.

Brzmi ono jak następuje:

Na mocy art. 41 konstytucji Rzeczypospolitej

tej Polskiej z dn. 17 marca 1921 r. („Dziennik ustaw Rzeczypospolitej Polskiej“ ust. 44, poz. 267) oraz ustępu 2-go art. 1-go regulaminu Zgromadzenia Narodowego dla wyboru prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z d. 27 lipca 1922 r. zwołuję Zgromadzenie Narodowe na d. 31 maja 1926 r. na godzinę 10 rano do sali obrad sejmu i senatu Rzeczypospolitej Polskiej.

Maciej Rataj, marszałek sejmu, przewodniczący Zgromadzenia Narodowego.

---

**Pierwszy Marszałek Polski, Józef Piłsudski wydał dn. 22 maja odezwę do wojsk. Treść jej jest następująca:**

**„Żołnierze!**

Nie porsz pierwszy słyszycie mój głos. Ongiś na polach bitew, gdy młode państwo jeszcze ząbkowało jak chorowite dziecko, prowadziłem Was w boje, które w zwycięstwach pod moim dowództwem wywalczonych na długie wieki okryły sławą i blaskiem bohaterskie Wasze sztandary.

Fo innych bojach przemawiam do Was dzisiaj, gdy bracia żywią miłość

ku sobie, wiąże się węzeł między nimi mocniejszy nad inne węzły ludzkie. Gdy bracia się waśnią i węzeł pęka, waśń ich również silniejszą jest nad inne. To prawo życia ludzkiego. Dałiśmy mu wyraz przed paru dniami, gdy w stolicy stoczyliśmy między sobą kilkuniedniowe walki. W jedną ziemię wsiąkła krew nasza, ziemię jednym i drugim jednakowo drogą, przez obie strony jednakowo umiłowaną. Niechaj krew ta gorąca, najcenniejsza w Polsce krew żołnierza pod stopami naszymi będzie nowym posiewem braterstwa, niech wspólną dla braci prawdę głosi.

Jest prawda twarda i harda o żołnierzach. Wszyscy mamy jedną wspólną siostrzycę władającą nad pracą naszą żołnierską. Jest nią śmierć, ścinająca kosą tego, na którego palec Boży wskaże. Służb takich nie sprawuje nikt inny, prócz nas żołnierzy. Takimi byliśmy, gdyśmy ongiś wzięli Polskę słabiutką i drżącą na swoje bary, by po znojach i zwycięstwach oddać ją współobywatelom silną i pewną życia. Lecz, widzimy ją, niestety, w wiecznych swarach i kłótniach, w jakiejś rozkoszy panoszenia się jednych nad drugimi. I

gdy dokoła nas wre wszędzie kłótnia i zawiść partyjna, gdy dygoce nienawiść i rozpala się niechęć dzielnicowa, trudno, by żołnierz był spokojny.

A jednak chcę być pewnym, że nie kto inny, jak żołnierz polski pierwszy się ocknie, pierwszy do zgody i braterstwa stanie. Niech przeto nie myśli wróg żaden czy nieprzyjaciół, że ziemię naszą znaleźć może bezbronną. Staniemy jak zawsze jeden obok drugiego, by dać za ojczyznę życie, a wspomnienie o bojach majowych w Warszawie, o tych walkach, któreśmy ze sobą stoczyli, nie dzielić, lecz łączyć nas wtedy z sobą będzie, jak wspomnienie gwałtowej sprzeczki między kochającymi się wzajemnie i kochającymi swą rodzinę braćmi.

Żołnierze, stanąłem znowu na Waszym czele jako Wasz Wódz. Znacie mnie. Bezwzględny dla siebie, stałem zawsze pośród Was w najcięższych Waszych bólach i trudach, w mękach i niepokojach. Znacie mnie i jeśli nie wszyscy kochać mnie nie potraficie, wszyscy musicie mnie szanować jako tego, który Was do wielkich zwycięstw prowadzić potrafił, a przy ogół-

nem zepsuciu i demoralizacji nie chciał i nie umiał korzyści własnej pilnować lub dochodzić.

Niech Bóg nad grzechami litościwy nam odpuści i rękę karzącą odwróci, a my stańmy do naszej pracy, która ziemię naszą wzmacnia i odradza“.

Minister Spraw Wojskowych

(—) Józef Piłsudski

Pierwszy Marszałek Polski.



DO 1.IV.26 r. UKAZAŁY SIĘ:

1. „Czarna msza”. *J. Tuwim.*
2. „Soliman i Roksolana”. *Melcer-Rutkowska.*
- 3. „Kazń Mikołaja II”. *J. Łużyc.*
4. „Żywot Nerona”. *J. Ejsmond.*
- 5. „Timurlenk”. *J. Bandrowski.*
- 6. „Mord Cezara i śmierć Kleopatry”.  
*prof. dr. Górka.*
7. „Żelazna dziewica”. *Melcer-Rutkowska.*
- 8. „Naszyjnik Królowej”. *Sierostawski.*
- 9. „Bohaterowie Krzyża”. *prof. dr. O. Górka.*
10. „Kurtyzany Rzymu”. *dr. Skarbek Tłuchawska.*
11. „Kawaler Lauzun”. *dr. Zajączkowski.*
- 12. „Tysiąc dziwów prawdziwych”. *J. Tuwim.*
13. „Gwiazdy filmowe”. *L. Brun.*
14. „Lady Hamilton i lord Nelson”. *Melcer-Rutkowska.*
15. „Tajemnica pochodzenia Franciszka Józefa”.  
*A. Nowicki.*
16. „Tajemnica amuletów i talizmanów”. *J. Tuwim.*
- 17. „Korsarze 1914 r.”. *St. Wojtkiewicz.*
- 18. „Biały burnus i czarne oczy”. *Piotr Lot.*
- 19. „Kapitan Scott”. *prof. dr. St. Nowakowski.*
- 20. „J. Kr. Mość Sisowath”. *K. Sieroszewski.*
21. „Piękna Doboszanka”. *St. Cieszkowski.*
- 22. „Ciupasem na Syberję”. *W. Sieroszewski.*
23. „Tzeu-Hi, władczyni bokserów”. *M. Kuncewiczowa.*
- 24. „Z tronu na szafot”. *L. Choromański.*
25. „Proces Bispinga”. *Adwokat Okręt.*
- 26. „Zabobony myśliwskie”. *J. Ejsmond.*

• oznaczone gwiazdką — odpow. dla młodz. Pojedynczą książeczkę wysyłamy po otrzymaniu znaczkami 30 gr. Przy zamówieniu 13-u książ. pobieramy 2 zł. 90 gr. Przy zamówieniu wszystkich 26 książek 5 zł. 50 gr. wraz z przesyłką. Odpowiadamy za nadesłaniem znaczka 15 gr.